Ostrzeżenie! Czasopismo zawiera wulgarne słowa oraz nieprzyzwoite, a nawet antyrządowe i przeciwkościelne treści.

CENA 9,80 zł w tym 8% VAT ● NR 19 (1859) ● 8–14 maja 2026

nr indeksu 367125 ISSN 0867-2237

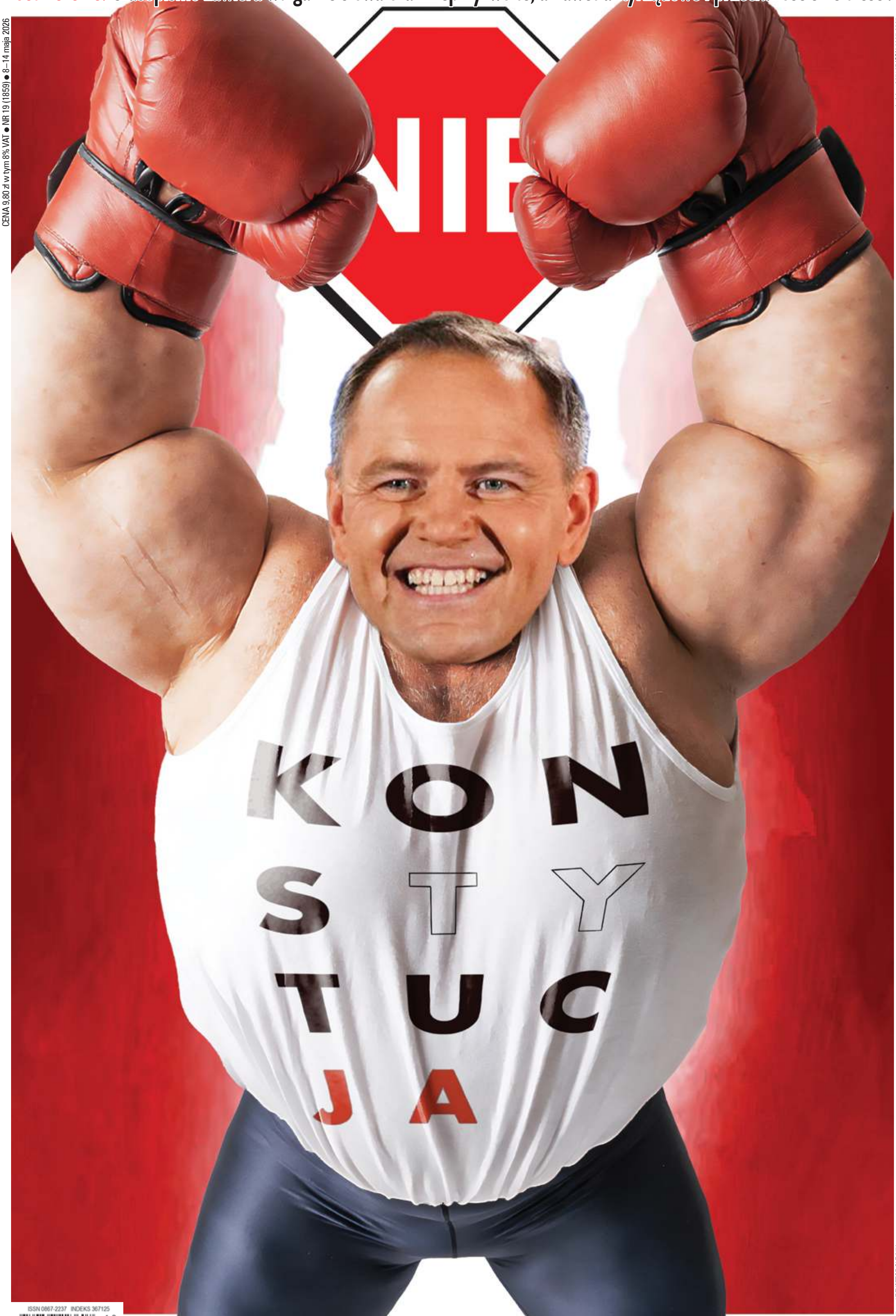

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

ISSN 0867-2237 INDEKS 367125
19
9 770867 223607

nie@redakcja.nie.com.pl www.tygodniknie.pl Tygodnik NIE YouTube Tygodnik NIE

eprasa.pl 1baae62809

WOJNA DOMOWA

„Radujmy się! Mamy go!” – zawołał wicepremier Sikorski, wznosząc ręce w geście znanym z makatek z Janem Pawłem II, a ostatnio kojarzonym z Joanną Senyszyn, która wszakże nie trafiła jeszcze na makatki (to niedociągnięcie, które musi zostać szybko nadrobione). Radość wicepremiera wywołuje fakt, iż Andrzej Poczobut po pięciu latach więzienia wyszedł na wolność i przyjechał do Polski. Poczobut jest niewątpliwie dzielnym człowiekiem, któremu należą się wolność i odpoczynek. Ale cyrk, który wokół wymiany więźniów urządziły obie strony polskiej barykady, jest cokolwiek nieprzyzwoity. Wicenaczelny „GW” Bartosz Wieliński, który odbierał Poczobuta z granicy i natychmiast zrobił z nim wywiad, opisał w tym wywiadzie następującą wymianę myśli. Poczobut: „Im bardzo wizerunkowo zależało, żeby mnie wymienić na jakiegoś ważnego szpiega”. Wieliński: „I tak się stało. Wymienili cię na profesora Aleksandra Butiagina, rosyjskiego archeologa, który prowadził nielegalne wykopaliska na okupowanym przez Rosję ukraińskim Krymie”. Prof. Butiagin to uznany w świecie archeolog specjalizujący się w Myrmekjonie – starożytnym greckim mieście położonym na Krymie – którego Ukraina kazała nam aresztować, bo nadal prowadzi tam badania. Jeżeli tak wygląda „ważny szpieg”, którego Polska z dumą złapała, to nieco się niepokoimy o nasze bezpieczeństwo kontrwywiadowcze.

Rząd po raz trzeci usiłuje przepchnąć przez sejm tę samą ustawę o kryptowalutach, z jedyną zmianą w postaci zaostrzenia kar – bo zaostrzać kary polscy liberałowie bardzo lubią. Zondakrypto to „największa afera ostatnich dekad”, w którą „bezpośrednio wplątani są były i aktualny prezydent i prawicowe partie opozycji” – ogłosił premier tonem w najwyższym stopniu surowym. „Nie wiem, jakie jeszcze argumenty mogłyby dotrzeć do prezydenta Nawrockiego, prezesa Kaczyńskiego, panów Mentzena czy Bosaka. Macie ostatnią szansę, żeby pokazać, że coś do was dotarło i że wspólnie z rządem będziecie chcieli zablokować działania tego typu gangsterki” – tokował Tusk, żeby mieć zupełną pewność, że Nawrocki ustawę znowu zawetuje. Z szeregu jak zwykle wyłamała się Katarzyna Pełczyńska-Nałęcz, której formacja proponuje projekt uwzględniający uwagi prezydenta: „Projekt rządu jest dobry, ale pytanie brzmi: czy chodzi o to, żeby dobrym projektem postawić prezydenta pod ścianą i zostawić ludzi bez zabezpieczenia, czy jednak przyjąć rozwiązanie, które ludzi uchroni. W przekonaniu Polski 2050 najważniejsze jest to, żeby rozwiązanie przeszło”. No, to się po prostu nazywa appeasement! Nie oddamy ani guzika od ustawy! Nie będzie Batyr pluł nam w twarz! Co prawda ustawy też nie będzie, ale honor Donalda droższy pieniędzy frajerów, co się połaszą na krypto.

W cyrk z polskim Trybunałem Konstytucyjnym włączył się Europejski Trybunał Praw Człowieka w Strasburgu, który wydał zabezpieczenie nakazujące „właściwym władzom” – czytaj Święczkowskiemu – „powstrzymanie się od utrudniania objęcia i wykonywania obowiązków sędziowskich”, inaczej mówiąc, dopuszczenie czwórki świeżo wybranych i nie do końca zaprzysiężonych sędziów do pracy. „Państwo ma obowiązek usunięcia wszelkich przeszkód uniemożliwiających im orzekanie. Dotarło?” – ożywił się Donald Tusk na Twitterze. Co Pan Premier z tym „dotarło”? Czy prezes Rady Ministrów naprawdę musi odnosić się do opozycji jak trener drużyny trampkarskiej w poprawczaku? A co do meritum: nie, nie dotarło. I nie dotrze. Nie po to prezydent łamał konstytucję, odmawiając zaprzysiężenia legalnie wybranych sędziów, żeby teraz Święczkowski się przestraszył ETPC. Może można było to rozegrać inaczej? Na przykład tak, jak sugerował prof. Maciej Gutowski: zamiast wysyłać do TK szefów stowarzyszeń sędziowskich, które przez osiem lat wojowały z PiS, wybrać szanowanych konstytucjonalistów, profesorów prawa o niepodważalnym autorytecie. Przy okazji odnotujemy, że w obecnym składzie TK, łącznie z tą nową szóstką, nie ma ani jednego konstytucjonalisty i ani jednego profesora tytularnego.

Rząd z opozycją pokłócił się też o amerykańskich wojaków. Bo Trump mówi, że ich zabierze z Niemiec, i PiS uważa, że powinniśmy od razu wsadzić palec pod budkę i powiedzieć, że ich chcemy, a Tusk ma wątpliwości, czy tak można kolegom Niemcom robić – bo to w sumie tak, jakby od razu zacząć chodzić z chłopakiem, który rzucił twoją przyjaciółkę. Przy okazji przypomniał o sobie tytan obrony narodowej Mariusz Błaszczak, który wygłosił w tym temacie opinię następującą: „Kosiniak-Kamysz to sobie może mówić, że chce, ale decyduje Donald Tusk, a Donald Tusk jest antyamerykański, nie ma żadnych wątpliwości. Radosław Sikorski też jest antyamerykański: on jest włączony w walkę polityczną w stanach Stanach Zjednoczonych po stronie demokratów”. My rozumiemy, że w oczach Mariusza każdy, kto jest przeciw PiS, jest antypolski – ale w USA to tak nie działa. Tam i republikanie, i demokraci są amerykańscy jak chuj. Źródło oporów rządu zdefiniował w rozmowie z Onetem chcący zachować anonimowość minister: „Nie jesteśmy hienami”. Nie, nie jesteśmy. Hieny dopadają padlinę i ją zeżerają, jak jest świeża, a nie płacą jej 15 tys. dolków od głowy – jak robi nasza Niepodległa Ojczyzna wobec amerykańskich sołdatów, czym właśnie pochwalił się wicepremier Sikorski: „Umowa o statusie wojsk jest, uważamy, konkurencyjna dla Stanów Zjednoczonych, bo wspieramy ten pobyt sumą 15 000 dolarów na żołnierza, więc zapraszamy”… Wicepremier Kosiniak-Kamysz nie mógł pozostać w tyle i zaprezentował swój plan pięcioletni: do roku 2030 polska armia będzie liczyć pół miliona żołnierzy. My proponujemy zakreślić plan do 39, ostatnim razem bardzo to się sprawdziło.

W Nadleśnictwie Józefów na Lubelszczyźnie las stanął w ogniu, podczas gaszenia rozbił się samolot gaśniczy, zginął pilot. Nieszczęśliwy wypadek, trudne warunki, bardzo przykra wiadomość. Ale też *photo opportunity*. Do Łukowa dzielnie ruszyli: minister spraw wewnętrznych Marcin Kierwiński i ministrzyca klimatu Paulina Hennig-Kloska. Ten pierwszy nie omieszkał uświadomić narodu, że „sytuacja nadal jest bardzo bardzo trudna”, albowiem „wiatr, który wzmógł się, przyniósł wiele nowych komplikacji”. O tajemnicach klimatu poinformowała obywateli ministra klimatu: „Sytuacja w samych lasach, kompleksach leśnych, tutaj na terenie Lubelszczyzny pozostaje bardzo trudna. Jak państwo wiecie, nie mieliśmy tutaj odpadów od wielu tygodni, co doprowadziło do tego, że wilgotność ściółki leśnej na terenie lasów spadła poniżej 10 proc.”… Bez pochodzącej wprost od ministry informacji o stanie ściółki leśnej na terenie lasów w samych lasach strażacy na pewno by sobie nie poradzili.

AWŁ

Z URNY BLAGIERA URBANA

Maj 2014 r.

BLOG WSZYSTKICH ŚWIĘTYCH

Świętego Borysa

Ostatnio poznałem wreszcie katolika. Jest całkiem sympatyczny.

Cd. św. Borysa (piątek)

Nad Pragą widać było przez Wisłę czerwoną poświatę. To wierni abepe Hosera grillowali postny barszcz.

Świętej Filipy

Proces byłego ministra Nowaka tak bardzo podnosi standardy etyczne, że można pęknąć ze śmiechu. Gdybym był posłem lub czymś takim i miał złożyć zeznania szczegółowe o tym, co posiadam, musiałbym zrobić remanent obrazów, mebli, kosztowności, zegarków. Następnie zatrudnić ekspertów z wszystkich tych dziedzin, żeby zrobili wycenę tysiąca przedmiotów. Lękać się, czy od złożenia zeznań coś mi nie przyrosło. I czy to, co Daniszewska kupiła w szmateksie za drobne, katalogowo nie jest warte ponad 10 tys. zł. Oraz czy spodnie i marynarkę liczyć odrębnie, czy jako komplet, za który krawiec wziął ponad 10 tys. Straszna dyskryminacja: bogaci w praktyce nie mogą pełnić urzędów.

Świętego Jacka

Jeżeli ktoś kupuje Porsche albo Ferrari, powinien być od razu aresztowany, gdyż chce zagrażać życiu lub zdrowiu ludzi. Posiadacze aut szybkostrzelnych pędzą w ruchu jak na wyścigach, skacząc wozem z jednego pasa ruchu na trzeci. Takie prowadzenie wymaga umiejętności przewidywania, co zależy od inteligencji człowieka. Posiadanie wyścigowca to raczej rekompensata braku mózgu niż dowód jego posiadania. Wystraszeni wyścigiem inni kierowcy płynący z falą ruchu mają więc frajdę, jak wyprzedzają Ferrari, które ich wcześniej upokorzyło, by teraz utknąć za autobusem. Zazwyczaj jednak wracający z pracy wyścigowiec trafia do domu o pięć minut wcześniej niż inni. O tyle czasu dłużej musi się nudzić lub obcować z wrzaskliwą żoną i dziećmi.

Ilustr. OLEJNIK

Świętego Sylwiana

Z pieśni Pietrzaka wynika m.in., że „żeby Polska była Polską”, „zrzucał uczeń portret cara”. Jan Pietrzak wyssał ten fakt z opowiastek o Bierucie, które czytał jako mały komuch. Ukazało się dzieło „Siedmiu wspaniałych” – biografie wszystkich I sekretarzy KC PZPR. Podają tam, że w 1905 r. uczeń Boleś Bierut pieprznął kałamarzem, strącając Mikołaja II i inspirując twórczość zajadłego, bo nawróconego antykomunisty Pietrzaka. W tym 1905 r. mojego dziadka-fabrykanta robotnicy wywozili na taczkach, a zachwycone tym córki dziadunia, w tym moja matka, stały w oknie i śpiewały „Międzynarodówkę”. Po francusku, bo polskich słów nie znały.

Świętej Judyty

Czytam rozkoszną książkę „1913”. Och, chciałoby się żyć wtedy właśnie, najchętniej w Berlinie. Kokoschka, Kandinsky, Munch, Klee i kilku innych malarzy tej miary wystawieni zostali na aukcji. Nikt nie kupił ani jednego obrazu. Za 1000 marek mógłbym wtedy mieć wszystkie i zarobić, wedle cen z 2013 r., 200 mln euro. Pewien niemiecki lekarz pisał sztuki teatralne według modnego wtedy i później freudyzmu, czyli pełne podświadomych bodźców, kompleksów Edypa i znaczących coś snów. Wezwano tego lekarza do chłopca, któremu jego kucyk odgryzł penisa. Dramaturg zaordynował kierowcy ambulansu: chłopca na chirurgię urazową, kucyka do doktora Freuda. Książki o Piskorskim i Himmlerze muszą czekać w kolejce.

Świętej Prudencji

Mam zasadę: nie wymieniać naszych gości z nazwiska, bo dzięki temu ich miewamy. Powiem więc tylko, że dziś Daniszewska odwszona, Azor odpchlony, bo najlepszy polski felietonista opuścił Berlin. Nie pójdę więc spać głodny jak co dzień.

Świętej Giseli

Dobry film w TV „Weekend z królem” nie jest pierwszym, który pokazuje, że w latach 30. ówczesna prasa solidarnie i dla zasad nie informowała o kalectwie Roosevelta ani nie pokazywała ułomności na zdjęciach. Na tym tle prezydent twierdził, że ludzie postrzegają przywódców tak, jak ci pragną być postrzegani. Wierzą w to politycy po dziś dzień i płacą za PR. Współcześnie Tusk chętnie kuśtyka o kuli, a Kaczyński rad by nie mieć nóg, gdyby to nie wymagało ich obcięcia. Publiczność lubi kalectwo i daje ono punkty w wyborach. Dotyczy to także kalectwa umysłowego.

Świętego Desire

Podano, że minister Mieczysław Wilczek, który w PRL wprowadzał kapitalizm, popełnił samobójstwo. Kilkanaście lat temu Wilczek, mój były kolega z rządu Rakowskiego, przyjechał do nas do Konstancina. Był w ciężkiej depresji. Opowiadał, że chciał się utopić, wszedł do rzeki, wahał się, wahał i nie umiał zdecydować. Okazało się, że był w rozterce jeszcze przez 15 lat, zanim się zdecydował. Wstrząsająca jest nie tyle jego śmierć, ile myśl o 15 latach strasznego życia – tysięcy dni wahań, czy się zabić.

Świętego Pacome

Aresztowano rodziców niemowlęcia, którzy zagłodzili je na śmierć. Okazało się, że rodzice są wykształceni, zamożni, kochający bobasa, a głodzili go za namową uzdrowiciela-szarlatana. Ten zaś umknął, ale jego pacjenci wołają, że kuracjom i gusłom znachora zawdzięczają życie. Jak to możliwe, że magistrowie uwierzyli w bzdury, a pośredni zabójca ma społeczne poparcie – dziwują się media. Dziwi mnie to zdziwienie. Wpierw kuria warszawska sprzedaje bilety na stadion, gdzie kapłan z egzotycznego kraju będzie uzdrawiał swoimi modłami. Potem Karol Wojtyła zostaje świętym dzięki cudownemu wypędzeniu raka z głowy śniadej pani z Ameryki Południowej. Następnie ta pani objeżdża Polskę i też bodaj uzdrawia, a kardynał Dziwisz rozdaje relikwie o cudownych właściwościach ze zwłok byłego szefa. A potem uzdrowiciela z Nowego Sącza nazywa się szarlatanem i media dziwią się, skąd się bierze wiara w takiego oszusta, który uchodził za cudotwórcę u inteligentów z Unii Europejskiej.

Świętej Solanż

Czytam o dr Ninie Chruszczow doradzającej Obamie w sprawach polityki wobec Rosji i sugerującej inne racjonalne sposoby hamowania ekspansji Putina. A przede wszystkim nieponiżanie Putina i Rosji. Przypomina mi się pijany wieczór u nas w domu z udziałem wnuczki Chruszczowa Niny i jej matki. Urocza Nina była studentką Harvardu. Wymieniałem z nią potem ciepłe listy, rozważaliśmy z Daniszewską podróż do panny Chruszczow. Tak zaniedbuje się okazje obcowania z ciekawymi ludźmi i zostają tylko starcy mówiący o stolcu i młódki za 150 zł milczące, bo zajęte oralem.

Świętej Joanny d'Arc

Trwa spór o to, czy na terenie byłego getta warszawskiego stawiać pomnik Polakom, którzy ratowali Żydów. Filosemici są przeciw, gdyż to żydowskie miejsce ich śmierci. A też pomnik taki tworzy fałszywą sugestię, że ratowanie Żydów stanowiło w czasie wojny masową rozrywkę Polaków. Polscy nacjonaliści chcą pomnika. Ja jestem za upamiętnieniem ratowników wewnątrz muzeum Żydów, gdzie można objaśnić, że „sprawiedliwi” ginęli głównie w wyniku denuncjacji ich polskiego otoczenia. Po wojnie zaś na ogół skrywali swoje uczynki, żeby nie wywoływać wrogości sąsiadów. I ich zazdrości o wzbogacenie się na Żydach. ❑

PRASA ŚNIADANIOWA

- **Przemysław Czarnek** apeluje, aby najpierw zakładać rodziny, a później kupować mieszkania. To jakby spuszczać wodę przed sraniem.
- **80 tys. maturzystów** odwiedziło Jasną Górę przed egzaminami. Akurat Matka Boska miała wykształcenie od siedmiu boleści.
- **ZUS** ostrzega przed oszustami obiecującymi podwyższenie emerytury. To jest arabski książę na miarę naszych możliwości.
- **Donald Trump** poparł pomysł zmiany nazwy z ICE na NICE. Zamienił kata w kota.
- **Jarosław Kaczyński** chce całkowitego zakazu kryptowalut. Po zakazie lewactwa, homoseksualizmu i zielonego ładu będzie to kolejny sukces prezesa.
- **Kuria** ostrzega przed oszustami sprzedającymi świadectwa bierzmowania. Oszustów można rozpoznać po sutannie.
- **Włochy** stały się najbardziej zadłużonym krajem w UE. Teraz Włosi udają Greka.

MARTA M.

Rys. TOMASZ WIATER

LISTONOSZ DONIÓSŁ

Bezmyślna pazerność ustroju

Spieszę podziękować Annie Grodzkiej za jej kolejną bajkę o świecie wolnym od reklam („Oddajcie nam naszą uwagę!”, „NIE”, nr 17–18/2026). Sprawa irytuje mnie (delikatnie mówiąc) od dawna, a szczerze mówiąc – potężnie wk(piiiii)a. (...) Nachalność, z jaką reklamo-przemocowcy pakują się nam w niemal wszystkie dziedziny życia, wywołuje bezsilną wściekłość. (...) Bo właśnie – jak słusznie zauważa Anna Grodzka – nie sama reklama, a bezczelny sposób, w jaki jest podawana, doprowadza do furii – mnie na pewno.

Jak inaczej nazwać urządzanie półgodzinnych hałaśliwych seansów przed filmem w kinie (przed czym nie ma jak uciec), przerywanie niemal wszystkich filmów i programów w telewizji i radiu, które stały się już właściwie śmietniskiem z reklamami, w którym odechciewa się już grzebać, wcinanie się we wszystko w internecie z wymuszonym (zapłaconym) prawem pierwszeństwa?

Nieszczęsny Stanisław Lem mówił, że podczas przerywania filmu reklamami chodzi po mieszkaniu z zatkanymi uszami i zasłoniętymi oczami, gadając do siebie, po czym zapomina, co oglądał. Nie mam otóż siły nawet na to – przestałem chodzić do kin, nie oglądam telewizji, nie słucham radia. (...) Niech zabrzmi to patetycznie: przestrzeń kulturowa została zdewastowana przez bezmyślną pazerność ustroju, którego jedynym priorytetem i wytłumaczeniem jest zysk.

Czy państwo nie powinno pochylić się nad prawem obywatela do bezszkodowego uczestnictwa w kulturze? Czy państwo mnie słyszy?

Marcin Saar, Gdańsk

eprasa.pl 1baae62809

Niesiemy kaganek postępu i pokoju – tylko skąd tyle złości?

Wolność reglamentowana

Wyobraź sobie, że przychodzi do ciebie sąsiad, wynosi z kuchni lodówkę, z łazienki bojler, z piwnicy słoiki, z puszki po herbacie zabiera resztkę pieniędzy po babci, a po tygodniu wraca z paczką makaronu, robi sobie zdjęcie przy twoim płocie i mówi: „Pomagamy rodzinie w kryzysie". Wkurwiłbyś się, co? To czemu cię nie wkurza opowieść o pomocy rozwojowej dla krajów Afryki?

Łykasz jak kaczka rybkę opowieść o migracji, terroryzmie, „niestabilności regionów" i tym całym eleganckim słowniku, którym przykrywa się fakt, że z połowy świata przez dekady robiono magazyn surowców, tanią fabrykę, poligon, śmietnik, plantację, rynek zbytu i posterunek graniczny. A kiedy z tego magazynu, fabryki, śmietnika i posterunku zaczęli uciekać ludzie, w europejskich mediach usłyszałeś, że problemem są islam, różnice kulturowe, demografia, brak oświecenia i zapewne zbyt ostro przyprawiona zupa.

Nie, szanowni państwo, problemem nie jest to, że człowiek z Senegalu ma inną modlitwę niż mieszkaniec Frankfurtu czy Warszawy. Problemem bywa to, że ktoś wcześniej wyciągnął mu z morza ryby, z państwa podatki, z ziemi uran, z budżetu pieniądze na obsługę długu, z prawa pracy resztki godności, a z przyszłości jakąkolwiek perspektywę. A potem bardzo się zdziwił, że ten człowiek przełazi przez mury, wsiada do łodzi i wieje, gdzie się da.

Przyjrzyjmy się tej cudownej europejskiej alchemii: jak wyzysk zamienia się w „pomoc", grabież w „partnerstwo", granica w „zarządzanie migracją", a przemoc w „stabilizację".

Ryby, uran i pusta sieć

Zacznijmy od ryb, bo ryba psuje się od głowy, a w tej historii głowa ma często logo koncernu, ministerstwa rozwoju albo funduszu, który w broszurze pokazuje uśmiechnięte dziecko, a w praktyce – trawler mielący ocean jak maszynka do robienia pieniędzy. Environmental Justice Foundation opisała Senegal jako kraj, w którym przełowienie oraz nielegalne, nieraportowane i nieuregulowane połowy niszczą lokalne rybołówstwo i pchają ludzi na śmiertelną trasę ucieczki przez Atlantyk na Wyspy Kanaryjskie. W 2023 r. ta trasa pochłonęła ponad 3000 ofiar. Fundacja szacuje, że Afryka Zachodnia traci przez takie połowy co najmniej 2,3 mld dol. rocznie.

I teraz proszę zobaczyć taką scenę: europejski konsument kupuje rybę, europejski polityk mówi o obronie granic, europejski komentator mówi o „fali migrantów", a senegalski rybak wyciąga pustą sieć. On nie musi czytać traktatów o neokolonializmie. Dla niego kolonialny wyzysk jest, jaki był: po prostu trwa. Gdy ryby i zyski odpływają w stronę korporacji, ludzie płyną łódkami przez morze – po szansę przeżycia.

Albo Francja i Niger. Tutaj liczby obnażają kolonialny układ lepiej niż jakakolwiek metafora. Organizacja Oxfam i nigerska sieć ROTAB przypominały, że jeszcze kilka lat temu we Francji jedna na trzy żarówki świeciła dzięki uranowi z Nigru, podczas gdy prawie 90 proc. Nigerczyków w ogóle nie miało dostępu do elektryczności. Jednocześnie czytam, że w 2013 r. francuska Areva, dziś Orano, w jednym tylko kwartale osiągnęła 2,279 mld euro przychodów – więcej niż cały roczny budżet Nigru. Jesienią tego samego roku Areva miała w księgach kontrakty warte 42 mld euro, czyli tyle, ile wynosi 20-letni budżet państwa Nigru.

Ten sam kraj, z którego przez dekady wywożono uran do europejskich reaktorów, pozostawał jednym z najbiedniejszych na świecie: ponad 60 proc. ludności żyło tam za mniej niż dolara dziennie, a większość wciąż nie widziała w domu żarówki. Nigerskie złoża, nigerska praca, francuskie przychody wielokrotnie przewyższające budżet całego państwa – i ciemność po stronie dawnej kolonii. To nie jest „rynek", tylko podręcznikowy przykład kolonializmu, tyle że w wersji z reaktorem zamiast plantacji.

Senegal i ryby, Niger i uran – to tylko pojedyncze przykłady neokolonialnych relacji. Można wskazać ich setki. A jednak kiedy rośnie gniew przeciw Zachodowi, nasi komentatorzy, ci „nauczyciele demokracji", teatralnie unoszą brwi. „Skąd ta nienawiść?" – pytają. Jak to skąd?! Z biedy, z wyzysku, z poczucia utraty godności i z beznadziei ludzi, którzy mają swoje państwo, swoją flagę, swój hymn i swoje granice, ale traktowani są jak tanie zaplecze materiałowe zachodniej korporacji.

Ale przecież pomagamy!

Przykładem są wielkie projekty infrastrukturalne zwane „białymi słoniami": kosztowne, często bezużyteczne inwestycje finansowane kredytami. Jak to działa w praktyce? Kredyt jest opakowany jako „pomoc rozwojowa". Sprzedaje się go jako nadzieję na „skok w cywilizacyjnym rozwoju", „musicie to mieć". Wybudujemy wam autostradę, port morski albo lotnisko, a jak chcecie, to także piękny stadion. Wybudują. Ale większość kasy wróci do krajów-donatorów: kontrakty dostaną ich firmy budowlane, konsultingowe i dostawcy technologii z Północy. Tylko komu w biednym kraju służy autostrada? Czyje statki wpływają do portu i co przewożą? Kto i jak często korzysta z lotniska?

Projekty są często obliczone wyłącznie pod kątem opłacalności inwestycji. Nie generują takich wpływów z eksportu, ceł i opłat za użytkowanie, jakie wpisano do biznesplanu. I co najważniejsze: niosą ze sobą stałe koszty utrzymania. Dług jednak zostaje, odsetki lecą, a państwo, żeby zapłacić raty, musi ciąć wydatki – zwykle na zdrowie, edukację i usługi społeczne.

CADTM, czyli Committee for the Abolition of Illegitimate Debt, wylicza, że kraje Globalnego Południa w 2012 r. spłaciły swoim wierzycielom 182 mld dol. długu, podczas gdy oficjalnej „pomocy" rozwojowej dostały 133 mld – netto. To Południe kredytuje Północ, a nie odwrotnie.

Dziś kolonializm to także polityka długu. Dawniej przyjeżdżał gubernator z pieczątką i karabinem. Dziś przyjeżdża delegacja z prezentacją oraz obłudnym uśmiechem i pod hasłem pomocy sprzedaje na kredyt „białe słonie". Organizacja Debt Justice podaje, że płatności długu krajów o niższych dochodach potroiły się w ostatniej dekadzie i w 2024 r. osiągnęły poziom najwyższy od 30 lat. Co to znaczy w praktyce? To znaczy, że zanim dziecko dostanie nauczyciela, a pielęgniarka pensję, posiadacz obligacji dostanie odsetki. Zanim wieś dostanie drogę, miasto wodociąg, szpital leki, a młody człowiek jakąkolwiek szansę, budżet biednego państwa zapłaci długi.

Dlaczego tak jest? Bo pomoc rozwojowa prawie nigdy nie jest inwestycją w edukację, nowoczesną technologię przynoszącą dochody ani w źródła energii i wody. Idzie w parze z przymusem, szantażem, przekupstwem i produkcją złudzeń, pomnażając biedę.

A wtedy jakiś tuman w Europie odkrywa „kryzys migracyjny". Jakby migracja spadała z nieba. Jakby tam ludzie budzili się rano i mówili: „A może dziś zaryzykuję przepłynięcie morza, bo dawno nie miałem aktywności outdoorowej".

Europa mówi: prawa człowieka – tak! Ale tylko u nas. Tylko dla „naszego" człowieka. Na tym polega obłuda zachodniego języka. Bo co z wolnością od długu niemożliwego do spłacenia, kiedy gros marży zostaje po stronie Zachodu? Co z wolnością od głodu produkowanego przez dumping, bo Europa dopłaca do swojego rolnictwa? Co z wolnością od życia w kraju, którego zasoby są formalnie jego, a ekonomicznie cudze?

A gdy zaczyna pachnieć wolnością

Gdy państwa próbują odzyskać kontrolę, gdy mówią: dość, chcemy naszych zasobów, naszych podatków, naszej ziemi, naszej decyzji – wtedy zaczyna się lekcja o demokracji. Zachód kocha demokrację tylko wtedy, kiedy wygrywają w niej kandydaci przyjaźni rynkom, ambasadom i inwestorom. Gdy gdzieś w świecie zaczyna pachnieć nacjonalizacją, kontrolą kapitału albo odmową bycia tanią szufladą na cudze interesy, wtedy wcześniejsza „demokracja" okazuje się „populizmem", „destabilizacją", „reżimem" oraz zadaniem dla sił specjalnych. Ostatnio także celem wyrzutni rakiet.

Bo my – Zachód – tylko na miłość zasługujemy. Gotowi jesteśmy nawet głosić, że przez ostatnie ćwierć wieku nad Bliskim Wschodem, Afryką Północną i Azją Centralną przelatywały wyłącznie bociany. A jeśli nie tylko one, lecz także drony, rakiety i myśliwce, to oczywiście tylko w obronie ludzi ciemiężonych w zbrodniczych satrapiach.

Projekt Costs of War szacuje, że bezpośrednia przemoc w wojnach po 11 września 2001 r. zabiła ponad 940 tys. ludzi, m.in. w Iraku, Afganistanie, Syrii i Jemenie, w tym ponad 432 tys. cywilów. Według tego samego źródła wojny po 11 września doprowadziły do przymusowego wysiedlenia co najmniej 38 mln osób. Trwa zachodnie „zaprowadzanie porządków" wokół Iranu, Libanu i Jemenu oraz izolacja gospodarcza Kuby. A to nie cała przemoc. Co zdarzy się jeszcze?

A potem przychodzi polityk i mówi, że „oni nas nienawidzą za demokrację", „za chrześcijańską kulturę". Nie, kochany. Czasem nienawidzą nas za checkpoint, za drona, za martwego kuzyna, za sankcje, za tortury, za okupację, za ludobójstwo i eksterminację, za więzienie bez procesu, za państwo rozbite tak skutecznie, że z jego gruzów wyrasta spontaniczna milicja, czarny rynek, kaznodzieja z bombą oraz kałasznikowem i radykalny, brutalny przywódca.

Oczywiście, religijny fanatyzm istnieje. Nienawiść do globalnego kapitalizmu także. Oczywiście lokalne elity też są często skorumpowane, brutalne i cyniczne.

Ale europejska opowieść ma jedną szczególną cechę: potrafi zauważyć każdy cudzy fanatyzm, a własny fanatyzm neoliberalnej ideologii i własną przemoc przedstawiać jako prawo, obowiązek cywilizacyjny i troskę o bezpieczeństwo.

Prawa człowieka z rachunkiem w tle

Libia jest tu przykładem podręcznikowym. Po interwencji i rozpadzie państwa stała się przestrzenią handlu ludźmi i tortur. Amnesty International pisała, że europejskie rządy były świadomie współodpowiedzialne za system, w którym dziesiątki tysięcy uchodźców i migrantów, zatrzymywanych przez libijskie władze imigracyjne, doświadczały tortur i nadużyć. To wynalazek „moralnej" Europy: nie brudzimy sobie rąk, tylko płacimy komuś, kto brudzi je za nas.

I tu dochodzimy do sedna – politycznej hipokryzji. Zachód głosi prawa człowieka i równocześnie produkuje warunki, w których prawa człowieka stają się fikcją: przez dług, wyzysk surowcowy, dumping, raje podatkowe, wspieranie autokratów, wojny i militaryzację granic. A potem dziwi się, że w tych warunkach pojawiają się represje, islamski radykalizm, migracje, przemoc, terroryzm, głód i rozpacz.

Nie chcę romantyzować tzw. krajów Południa. Nie chcę udawać, że każdy generał, oligarcha, minister i lokalny kleptokrata jest jedynie niewinną ofiarą Paryża, Waszyngtonu czy Brukseli. To byłaby opowieść równie głupia jak liberalna bajka o wolnym rynku, który wszystkim daje równe szanse i „przypływ, który podnosi wszystkie łodzie".

Ale trzeba powiedzieć uczciwie: lokalna korupcja i autorytaryzm bardzo często są nie tylko przeciwieństwem zachodniego systemu. One bywają jego podwykonawcami. Państwo ma być na tyle silne, żeby pilnować funkcjonowania tutejszych kopalni, ustalonych przez obcych granic i poskramiać protesty, ale na tyle słabe, żeby nie opodatkować koncernu, nie kwestionować ani nawet nie renegocjować długu i nie zapytać obywateli, czy chcą być zapleczem cudzej wygody.

Dlatego kiedy następnym razem usłyszę, że „Europa i Stany Zjednoczone nie mogą przyjąć całego świata", odpowiem: oczywiście, nie mogą. Ale mogłyby przestać urządzać pół świata tak, żeby ludzie nie mieli po co w nim zostawać. Mogłyby przestać kraść ryby, wyprowadzać zyski i zostawiać ochłapy, budować mury, wspierać dyktatorów i zamieniać prawa człowieka w dekorację do handlu bronią.

Bo imigranci nie przypływają znikąd. Przypływają z miejsc, z których wcześniej odpłynęły ryby, podatki, światło, woda, bezpieczeństwo, praca, suwerenność i nadzieja. Przypływają z krajów, którym neoliberalny, kapitalistyczny Zachód najpierw zrobił wykład z praw człowieka i demokracji, potem wystawił fakturę, zabrał surowce, zamknął granicę, a na końcu – z miną człowieka głęboko urażonego cudzym wkurwieniem – zapytał: skąd w was taka nieufność do demokracji? Skąd tyle gniewu? Nie chcemy was – przyjmijcie naszą kulturę albo wracajcie do siebie.

ANNA GRODZKA

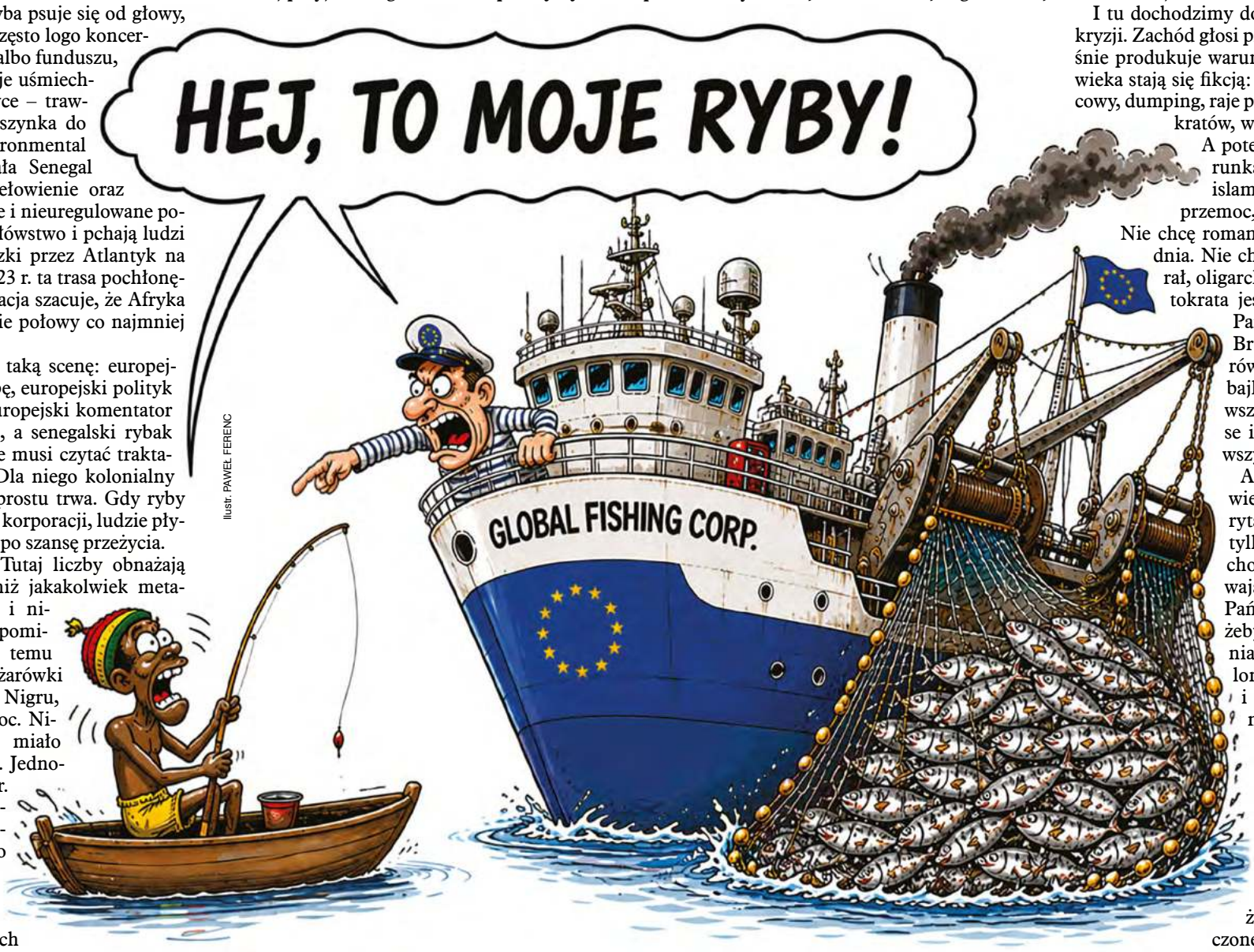

Ilustr. PAWEŁ FERENC

eprasa.pl 1baae62809

Wojenko, wojenko, cóżeś ty?

Według badania opinii United Surveys by IBRiS, Polaków gniewa służba zdrowia, niestabilność prawa, nieudolność władzy, ale aż 44 proc. drży przed sytuacją geopolityczną, czyli obawia się o bezpieczeństwo kraju. Innymi słowy: Polacy boją się wojny. Te 44 proc. to i tak wynik zaskakująco niski. Pozostałe 56 proc. zapewne nie zrozumiało pytania.

Sztachetą w brata

No cóż, żyjemy w ciekawych czasach. To, co wyprawia się za wschodnią granicą, ma tyle logiki co zbrojna inwazja kieleckich scyzoryków na Kraków w celu odzyskania Wawelu. Wojna rosyjsko-ukraińska to nie jest żadne starcie cywilizacji, jak chcieliby kanapowi stratedzy, lecz krwawa, rodzinna awantura w postradzieckiej melinie.

Konflikt tak bratobójczy, że aż cuchnie kazirodztwem. Przez dekady dwa narody były najważniejszymi trybami w maszynie światowego mocarstwa, a ich obywatele na zmianę mościli się w kremlowskich fotelach. Raz rządził Ukrainiec Chruszczow, który w przypływie fantazji podarował Krym Kijowowi, innym razem Breżniew, który z ukraińskim rodowodem w papierach trzymał za mordę pół świata.

Dziś ci sami, którzy razem budowali atomowe straszaki i wspólnie chlali wódę na dożynkach w kołchozach, wybebeszają się nawzajem w imię „historycznej sprawiedliwości". To zdrada nie tylko sąsiedzka, ale i biologiczna. Rosja i Ukraina wyszły z tego samego stalinowskiego inkubatora. Teraz próbują sobie nawzajem udowodnić, kto był w nim ważniejszym embrionem.

Dla Polaka wniosek jest jeden: skoro „bracia" potrafią sobie zgotować piekło, to my – jako wieczni „kuzyni z pretensjami" – pomyślmy, czy nasze schrony mają chociaż sprawne zamki! Bo w tej części Europy logika zawsze przegrywa z atawistyczną chęcią przyłożenia sąsiadowi sztachetą w łeb.

Od ofiary do rzeźnika

Spójrzmy też dalej. Żydzi, którzy przez dekady odcinali kupony od bycia ofiarą, obecnie urządzają rzeźnię w Gazie i Libanie. To frapujące, jak szybko naród wybrany przeszedł od „nigdy więcej" do „teraz my".

No i mamy tego narcyza z tlenioną grzywką. Donald Trump wyraźnie cierpi na kompleks niższości wobec Harry'ego Trumana. Ów zmienił Hiroszimę w największe krematorium w dziejach ludzkości. Trump natomiast snuje wizje aneksji Kanady, Grenlandii i Kuby, a obecnie bawi się w tresera Iranu.

Dla nas to horror. Boimy się, że ten wielki brat zza oceanu, najsilniejsze muskuły NATO, sprzeda nas Putinowi za obietnicę wybudowania Trump Tower na Placu Czerwonym. Pułapka. Z jednej strony rzeźnia, z drugiej – grabarz sojuszy z palcem na cynglu.

Samobójstwo w korku pod ambasadą

W takiej sytuacji w każdym normalnym kraju pod ambasady ruszyłyby tłumy z transparentami „Nigdy więcej wojny", „Chcemy umierać na raka, a nie za ojczyznę!" albo chociaż „Dzieciom uśmiech, światu pokój". Ale u nas? Cisza. Żadnego obywatelskiego ruszenia. Siedzimy biernie w swoich elektrycznych SUV-ach, uwięzieni w korku między ambasadą USA a Rosji. Z miną skazańca liczymy, że ktoś za nas tę sprawę załatwi. A tym kimś ma być władza.

Doprawdy fascynujący przypadek zbiorowego obłędu. Moi współobywatele na co dzień klną na brak strategicznego planowania i państwo sklejone na ślinę, ale ci sami ludzie nagle dostają ataku naiwności. Wierzą, że ta biurokratyczna maszyna w obliczu militarnego chaosu zamieni się w sprawny mechanizm obronny.

Hucpa pod ostrzałem

Ostatnia posługa w zalanej piwnicy

A co robią władze? Najbardziej przejmującym aktem hucpy był poradnik na czas kryzysu i wojny „Bądź gotowy". Wynika z niego, że w razie czego państwo polskie bierze sobie trzy dni wolnego. Przez 72 godziny macie radzić sobie sami. Spakuj plecak, włóż do niego bandaż i uciekaj. Dokąd – tego poradnik nie precyzuje. Zapewne każdy z was, kładąc się spać, trzyma ów plecak pod poduszką, a w zębach ściska latarkę, by w razie ataku oświetlić sobie drogę do najbliższego rowu melioracyjnego.

Parlament też nie próżnował. Mamy ustawę o ochronie ludności i obronie cywilnej. Dokument ma wartość papieru toaletowego, którego – nawiasem mówiąc – w schronach nie uświadczycie, bo i samych schronów nie ma. Zamiast betonu i systemów wentylacji dostaliśmy aplikacje na telefon, które pokazują miejsca schronienia. Problem, że po dotarciu pod wskazany adres okazuje się, że schronem jest zalana piwnica w bloku z wielkiej płyty albo wiata przystankowa.

Straż pożarna i szpitale, żeby nie wyjść z wprawy, testowały głośność syren alarmowych. Gdy będziemy umierać, będzie wielkie: ałuuu, ałuuu, ałuuu!

Prawdziwym majstersztykiem jest też porozumienie z episkopatem. Czarni dogadali się z rządem, że w razie katastrofy, pandemii czy – na szarym końcu – wojny, będą udzielać ostatniej posługi każdemu, bez względu na wyznanie. Co za ulga! Mało tego, na cmentarzach parafialnych znajdzie się miejsce dla bezbożników.

Pancerna fatamorgana

Wydatki na armię spuchły do rozmiarów monstrualnych. Z oficjalnych komunikatów bije blask potęgi, że aż oczy mrużyć. Jesteśmy silni, zwarci i... na tym koniec.

Mimo miliardów, które rzekomo płyną szerokim strumieniem, bilans czołgów jest żałosny – przybyło ich może ze 180 sztuk. Mamy 116 używanych Abramsów, które Amerykanie łaskawie nam odsprzedali, i kilkadziesiąt koreańskich „pancerek", o których mówi się więcej, niż się je widzi.

W sferze marzeń i deklaracji jesteśmy potęgą. Mamy mieć 500 wyrzutni HIMARS – na razie mamy 20. Mamy mieć F-35 – obecnie zero. Mamy mieć śmigłowce Apache – obecnie zero. Mamy mieć nowoczesne okręty podwodne – obecnie zero, jeśli nie liczyć tych, które od lat bohatersko rdzewieją w portach, jako lęgowiska dla mew.

Mówiąc precyzyjnie: w Excelu jesteśmy mocarstwem, przed którym klękają narody. W praktyce – „projektem w toku". Bezbronnym golasem, który kupił bardzo drogi katalog z zabawkami i teraz pokazuje go sąsiadom, udając, że to, co na obrazku, już stoi w garażu. Nasza obronność to stan umysłu ministrów, którzy wierzą, że sam przelew bankowy wystarczy, by odstraszyć agresora.

Realpolitik po polsku

Ale nie czas biadolić. Czas na konstruktywne propozycje. Zatem gdybym był premierem – choć nigdy nim nie będę, więc mogę mówić, co mi ślina na język przyniesie – to chcąc wyjść z tego z życiem, działałbym nie tak, jak robi to obecna władza, lecz tak:

1. Cicha dyplomacja pod stołem.

Oficjalnie: jesteśmy twardym członkiem NATO. Potępiamy, nakładamy sankcje i robimy groźne miny do kamer. Nieoficjalnie: wysyłam do Moskwy ludzi, którzy nie mają nazwisk z pierwszych stron gazet, ale mają kontakty. Cel? Ustalenie „czerwonych linii", których nie wyznacza Trump, tylko my. Musimy wiedzieć, co Putin uważa za casus belli dla ataku nuklearnego na Polskę, i zrobić wszystko, by do tej linii nie podejść, nawet jeśli Waszyngton będzie nas popychał. Państwo średniej wielkości leżące na trasie przelotu rakiet musi prowadzić politykę dwutorową. Kto tego nie rozumie, jest samobójcą.

2. Korupcja zamiast konfrontacji.

Zamiast sankcji, które uderzają w rosyjską matrioszkę, postawiłbym na „korupcję cywilizacyjną". Skoro zachodnie firmy wyszły, to polskie powinny tam wracać wszelkimi możliwymi szczelinami – przez Kazachstan, Turcję, czy co tam jeszcze wymyślą sprytni handlarze.

ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Musimy odzyskać wpływ na rosyjskie elity i społeczeństwo poprzez interesy. Uzależnienie Rosji od naszych towarów, usług i technologii (nawet tych przemycanych) daje nam więcej guzików bezpieczeństwa niż 200 HIMARS-ów.

Chciałbym, żeby rosyjski oligarcha bał się wojny z Polską nie dlatego, że go zbombardujemy, ale dlatego, że straci dostęp do swoich pieniędzy i luksusów, które my mu dostarczamy.

3. Koniec z rolą przedmurza.

Polska musi przestać aspirować do roli „lidera regionu" i „tarczy Europy". To jest rola frajera, który pierwszy dostaje w zęby, żeby reszta mogła się zastanowić, co robić. Moim celem byłoby przesunięcie ciężaru odpowiedzialności na Berlin i Paryż. Chcecie bezpieczeństwa na wschodzie? To płaćcie i budujcie tu europejską infrastrukturę, której zniszczenie zaboli was tak samo jak nas. Nie „polska armia", tylko „europejska armia na polskiej ziemi". Wtedy atak na Polskę jest atakiem na portfel Niemca i Francuza. To jedyna realna gwarancja.

4. Demilitaryzacja emocji.

Jako premier wyciszyłbym wojenną propagandę w mediach publicznych. Przestałbym straszyć ludzi co wieczór, bo zastraszone społeczeństwo podejmuje głupie decyzje. Zamiast tego: budowa realnej obrony cywilnej (nie tej z aplikacji, tylko prawdziwej), inwestycje w cyberbezpieczeństwo i wywiad. Wiedza o tym, co Putin zjadł na śniadanie (jest to jogurt popijany sokiem z buraków), jest cenniejsza niż dywizja czołgów, która utknie w błocie pod Siedlcami.

5. Realizm w sprawie Ukrainy.

Pomagamy? Tak, bo to w naszym interesie, żeby Rosja tam ugrzęzła. Ale róbmy to bez tej mesjanistycznej naiwności. Ukraina to partner, a nie brat, któremu oddajemy ostatnią koszulę. Każda złotówka wydana na pomoc musi mieć zwrot w przyszłych kontraktach, wpływach i bezpieczeństwie. Żadnych sentymentów, tylko twarda gra o to, by Ukraina była buforem, a nie naszym problemem socjalnym.

6. Sekularyzacja państwa jako element obronny.

Pieniądze, które płyną do Kościoła, natychmiast przekierowuję na nowoczesne technologie i wywiad. Modlitwa o pokój nie działa – sprawdzaliśmy to przez ostatnie cztery lata. Działa za to sprawny system zagłuszania sygnału i dobrze opłaceni agenci w strukturach przeciwnika.

Podsumowując: jako premier byłbym cynicznym, wyrachowanym handlarzem bezpieczeństwem. Nie szukałbym „moralnych zwycięstw", tylko gwarancji, że za dziesięć lat Warszawa nadal będzie stała, a ludzie będą narzekać na wysokie ceny paliw, a nie na brak dachu nad głową po ataku rakietowym.

Czy to jest „konstruktywne"? Dla panów Czarnka, Morawieckiego i Nawrockiego nie, bo brakuje w tym machania szabelką. Dla człowieka, który chce żyć – to jedyna droga. Co Wy na to, Panie Premierze Tusk?

ROBERT JARUGA

Inwalidzi z wyborów

Zdrówka życzy nadwiślański liberał

Niedawno premier polskiego rządu za pośrednictwem „Financial Times" objawił światu mrożącą krew w żyłach prognozę. W tej krynicy zachodnich mądrości o świecie Donald Tusk wieszczył, że na ojczystej ziemi – w ciągu „raczej miesięcy niż lat" – pojawi się nieproszony gość z Azji: Czyngis-cham. To współczesny zastępca Goga i Magoga – tych zwiastunów Antychrysta.

Zdumiewająca jest pozorna niekonsekwencja w postępowaniu obecnego szefa rządu. Znający obowiązki premiera Leszek Miller wyraził zdziwienie, dlaczego Tusk w te pędy nie wszczyna alarmu: nie ratuje ojczyzny chociaż z sejmowej trybuny, nie zwołuje posiedzenia Rady Bezpieczeństwa Narodowego, nie leci do Brukseli mobilizować europejską soldateskę? Ale w tym antyputinowskim szaleństwie jest metoda. Nie chodzi tylko o ratowanie dołującego europejskiego przemysłu. To także narzędzie dalszej prywatyzacji krajowej służby zdrowia. Brakuje tylko nowej Beaty Sawickiej, żeby obecni i przyszli pacjenci dowiedzieli się o tym expressis verbis.

Ofiary wyczynowego kapitalizmu

To kolejna zagrywka naszego Marionetka. Strach przed Czyngis-chamem ma ogłuszyć tutejszych Jarząbków, tak aby wystraszeni z pokorą znosili skutki zbrojenia kraju. W szaleństwie władzy Jarząbkowie są zawsze pierwsi. Jeśli nie wywołają jakiegoś powstanka, to chociaż przerobią 20 proc. budżetu na przyszły złom.

Zamówienia na broń służą nie tylko temu, by udobruchać siewcę pokoju z nieba. Dochody udziałowców i akcjonariuszy firm zbrojeniowych dołączą do europejskich funduszy inwestycyjnych i emerytalnych, by razem zasilać amerykańskie kasyno Wall Street. Inwalida z wyboru nie będzie się przejmował tym, że technobuce i ich platformy, algorytmy Palantir Technologies, różne Goki-Gogi – odbierają im suwerenność cyfrową, obniżają jakość demokracji, zatruwają młode i starsze umysły inforozrywką. Ale o to przecież chodzi – bo internetową papką, kiełbasą wyborczą z chlebem i solą umysły Jarząbków niewolą.

Na dodatek nadwiślański liberał korzysta z łzawej noweli włoskiego bankiera i lobbysty sektora finansowego. Mowa o tzw. raporcie Draghiego „on EU competitiveness" – żeby deregulację móc wzmóc. Mario Draghi chwali się nawet, że prowadzi całą UE do raju większej konkurencyjności. Tymczasem

to nie nadregulacja, lecz odpowiednia polityka rozwojowa państwa chińskiego zepchnęła Europę znów na peryferia. Włoski mędrzec powinien raczej inspirować się naukami Xi Jinpinga niż niemieckich ordoliberałów.

Bo to właśnie „chińscy komuniści" rzucili upojonemu demokracją wyborczą Zachodowi nowe wyzwanie ustrojowe: ani nie pozwalają portfelowemu kapitałowi Zachodu przejmować krajowej nadwyżki, ani nie dopuścili do rozbrojenia swego państwa z narzędzi regulowania gospodarki.

Państwo chińskie zachowuje też autonomię – tak wobec własnego, jak i zagranicznego biznesu. To boli najbardziej amerykańskie fundusze posługujące się spekulacyjnymi strategiami inwestycyjnymi. Ale cała prawica narodowa i liberalna, ze wsparciem nibylewicy włącznie, zakochała się w degradującym własne społeczeństwo amerykańskim modelu wyczynowego kapitalizmu „wolnej przedsiębiorczości" Elonów i Jeffów.

Święty zamiast szpitala

To więc kolejny pic na wodę i fotomontaż naczelnego standupera kraju. Może obecna cichociemna ministra zdrowia jest apolityczna, ale po naukach w Akademii Leona Koźmińskiego wie, na czym polega wyciskanie zysku. Świadczy o tym jej doświadczenie w przekształcaniu zadłużonych szpitali w województwie pomorskim w spółki prawa handlowego. I to główna pozycja w jej zawodowym portfolio. I dlatego dołączyła do staffu jako sprawdzona menedżerka bez przyrzeczenia lekarskiego o służeniu życiu i zdrowiu ludzkiemu.

Sprywatyzowany system ochrony zdrowia jest najmniej efektywny

eprasa.pl 1baae62809

Czy zakonnice aferzystki uwalą nowelizację ustawy o pomocy społecznej?

Wojna o kalekie bachory

Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej pracuje nad ustawą, której przepisy zakażą umieszczania dzieci w domach pomocy społecznej, a kierowanie do nich dorosłych będzie możliwe, tylko jeśli samorząd nie będzie w stanie zorganizować wsparcia na miejscu. DPS-y mają swoje miejsce w systemie opieki nad dorosłymi, ale zdecydowanie nie są miejscem dla dziecka. Wychowywanie się kaszojada wśród zaślinionych dziadków z demencją to słaby pomysł. Przepisy wprowadzą zasadę, że pierwszym, naturalnym i obowiązkowym kierunkiem dla dziecka jest piecza zastępcza. Również takiego z głęboką niepełnosprawnością. Pomysł spowodował wkurw sióstr dominikanek, które prowadzą w Broniszewicach DPS „Dom Chłopaków" dla chłopców i mężczyzn z głębokimi deficytami neurologicznymi i ich konsekwencjami. Zakonnice odbębniły rajd po mediach od Kanału Zero po TVN, żeby przekonać opinię publiczną, że ich wzorcowej placówce grozi zamknięcie. Kłopot w tym, że to gówno prawda.

Rys. TOMASZ WIATER

„Dom Chłopaków nie jest potrzebny, nie służy wystarczająco Dzieciom z największymi niepełnosprawnościami, nie wspiera odpowiednio polskich Rodzin. Taką wizję przedstawia dziś Pani Minister Katarzyna Nowakowska" – napisały pituchny w swoich social mediach.

„Bardzo smutna wiadomość. Zablokujemy tę ustawę, ale bez złudzeń. Będą próbować to zrobić interpretacją, wytycznymi czy metodą faktów dokonanych. Wiem, że jest wiele osób w Polsce, które wciąż nie chcą w to wierzyć. Mamy jednak dziś bardziej bolszewicki rząd niż komunistyczny, który pamiętam z dzieciństwa. Ale nie traćmy nadziei. Żadna władza nie trwa wiecznie" – skomentował sprawę cytowany przez portal wPolityce.pl Bartłomiej Wróblewski z PiS. To zabawne, bo reforma formalnie została zaplanowana jeszcze za rządów Prawa i Sprawiedliwości, kiedy przyjęto Strategię Rozwoju Usług Społecznych do 2030 r. Nowelizacja ją realizuje i jest zgodna z Konwencją o prawach osób z niepełnosprawnościami, którą Polska ratyfikowała jeszcze w 2012 r.

Z grubej rury pojechał też DPS św. Rocha w Poznaniu, również prowadzony przez zakonnice, serafitki. „Sprawa jest pilna, bo proponowane przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej zmiany w ustawie o pomocy społecznej zakładają zakaz przyjmowania do DPS dzieci od 2027 r., nie dając realnej alternatywy, gdzie te dzieci będą umieszczane. Utopijnie zakłada się, że w rodzinach zastępczych (chociaż obecnie czeka ok. 1900 dzieci zdrowych na umieszczenie w takich rodzinach)" – napisały siostry na swojej facebookowej stronie. Tymczasem fakty są zgoła inne.

Domów dla dzieci i młodzieży niepełnosprawnych intelektualnie jest 36 (2,5 tys. miejsc). System oferuje 67 domów typu łączonego (dla dorosłych z niepełnosprawnością intelektualną oraz dzieci i młodzieży z tym samym zdrowotnym fantem) – tam mieszka 320 dzieci. W DPS-ach mieszka 967 dzieci z niepełnosprawnościami. Natomiast w pieczy rodzinnej (głównie w rodzinach zastępczych i rodzinnych domach dziecka) wychowuje się 8,4 tys. takich smarkaczy. Co więcej, w rodzinach – zarówno zastępczych, jak i adopcyjnych – jest cała masa dzieci z niepełnosprawnością w stopniu głębokim i znacznym. Leżących, karmionych pozajelitowo, niezdolnych do samodzielnego funkcjonowania. Dlatego zamiast o prawo do wciskania bachorni do DPS-ów trzeba walczyć o wsparcie takich właśnie rodzin. Chętni do przyjęcia pod swój dach uszkodzonych purchlaków są. Dlaczego zatem gminy wolą wsadzić dzieciaka do kilkukrotnie droższego DPS-u niż poszukać im rodzin? Diabeł jak zwykle tkwi w szczegółach.

Formy opieki nad dziećmi są różnie finansowane z innych części budżetu państwa i samorządów, co tworzy patologie. Opieka w rodzinie zastępczej obciąża bezpośrednio budżet powiatu (z dotacji celowej z MRPiPS). Na dziecko z niepełnosprawnością w rodzinie zastępczej państwo daje 1832 zł miesięcznie. Jeśli rodzina jest zawodowa (6,3 proc. w skali kraju wg GUS), dochodzi do tego pensja opiekuna w okolicy najniższej krajowej. Jest jeszcze świadczenie pielęgnacyjne w kwocie 3386 zł dla dzieci niezdolnych do samodzielnej egzystencji (notorycznie odmawiane nawet ciężkim przypadkom).

Opieka w DPS-ach i innych placówkach jest w dużej części refinansowana z dodatkowych źródeł. Są to dotacje celowe, PFRON, NFZ itd. Powiat czy gmina mają ograniczony budżet na pieczę zastępczą. Zainstalowanie dzieciaka w DPS-ie zdejmuje go z puli rodzin zastępczych i przerzuca ciężar finansowy gdzie indziej. Dla porównania w wielu powiatach koszt DPS-u dla dzieci z niepełnosprawnościami wynosi 7,5–12 tys. zł miesięcznie. W placówkach o wyższym standardzie przekracza 12–18 tys. zł. Można pomyśleć, że wystarczyłoby przekierować kasę z jednej puli do drugiej, żeby wspomóc deinstytucjonalizację problemu. Niestety, nowela tego nie przewiduje.

Projekt nie zawiera mechanizmu, który automatycznie przekierowałby oszczędności z DPS-ów na zwiększenie finansowania pieczy zastępczej. Resort rodziny w ocenie skutków regulacji pisze nawet, że nowelizacja nie generuje dodatkowych kosztów dla budżetu państwa i samorządów. Pieniądze mają pochodzić głównie z istniejących pul i projektowych programów unijnych. Trudno to nazwać solidnym zabezpieczeniem tematu.

Aktualnie jedna czwarta rezerw budżetów samorządów jest przeznaczana na pieczę zastępczą. Dzieje się tak, ponieważ dotacje celowe z państwowego paśnika na wspomnianą pieczę są niedoszacowane.

Nie pokrywają rzeczywistych kosztów (od wynagrodzeń rodzin zastępczych przez specjalistyczną opiekę po rehabilitację dzieci z niepełnosprawnościami itd.). Dzieje się tak dlatego, że liczba bachorni w rodzinach zastępczych stale rośnie. Coraz więcej dzieci ma orzeczenia o niepełnosprawności. Stawki świadczeń dla RZ nie nadążają za inflacją i realnym kosztem utrzymania małoletniego. Wskutek tego powiaty muszą brać kasę z własnych budżetów z puli, którą powinny przeznaczać na inne nieprzewidziane wydatki i inwestycje.

Miesięczny koszt przebywania mieszkańca w „Domu Chłopaków" w Broniszewicach został ustalony na 10 659,09 zł. Przeznaczenie takich pieniędzy na rodzinną pieczę mogłoby rozwiązać wiele jej problemów. Ba, przy silnym wsparciu państwa część tych dzieci nie musiałaby nawet opuszczać rodzin biologicznych. Siostry z „Domu Chłopaków" biją pianę o likwidacji placówki, lecz brak kierowania do niej małoletnich nie sprawi, że nie będą mogły zajmować się starszymi podopiecznymi. Zawsze znajdą się beneficjenci systemu. Nie muszą to być smarkacze. Dotychczasowi rezydenci domu będą mogli w nim też pozostać. Dzieci potrzebują więzi, a nie zespołu zmianowego i dożywocia w jednym pokoju. Powinni to zrozumieć zarządcy DPS-ów i Ministerstwo Finansów. Projekt nowelizacji wciąż jest na etapie konsultacji społecznych.

IDALIA DUBICKA

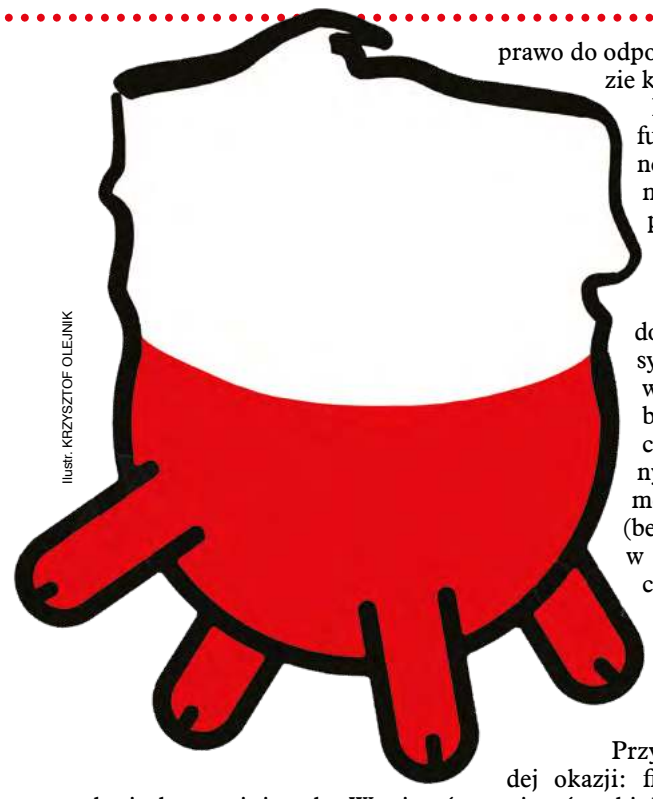
Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

w krajach rozwiniętych. W ojczyźnie siewcy pokoju z nieba wydaje się 17,5 proc. PKB na „usługi" zdrowotne. Ale mimo tego miliony mogą tylko wybrać świętego, żeby im ulżył w cierpieniu. Mogą się pomodlić do św. Peregryna albo do św. Bernardyna. Pomóc może też św. archanioł Rafael. Wybór specjalistów co się zowie. Dlatego lepsza droga do sprawnego systemu opieki zdrowotnej prowadzi nie przez atlantyckie mgły, ale przez Bałtyk.

W Szwecji nie ma wyodrębnionych składek na ubezpieczenie zdrowotne. System zdrowia jest finansowany przez budżet. Pierwszą linię pomocy tworzą pielęgniarka i znakomicie wykształcony lekarz rodzinny. Specjalistyczne badania i diagnozy wykonują najpóźniej po trzech miesiącach lekarze specjaliści w świetnie wyposażonych szpitalach. Każdy obywatel ma prawo do odpowiedniej pomocy w razie kłopotów ze zdrowiem.

Istota tego modelu funkcjonowania wspólnoty życia i pracy polega na tym, że oprócz pensji pracownik uzyskuje za swoje podatki swoistą drugą, pośrednią płacę – w postaci dostępu do usług publicznych, do systemu spożycia zbiorowego. Warunkiem jest to, by wspólnota życia i pracy dysponowała efektywnym publicznym systemem zdrowia, edukacji (bez szkół prywatnych jak w Finlandii); by otaczające środowisko naturalne pozwalało oddychać świeżym powietrzem i cieszyć oko zielenią; by starość nie była ani głodna, ani chłodna.

Przypominajmy przy każdej okazji: firmy prywatne muszą osiągać zyski dla udziałowców. Niech sobie egzystują, ale bez związków z publicznym systemem. I to powinno też dotyczyć zatrudnienia lekarzy, żeby wykluczyć powszechną praktykę – przyjąć pacjenta w prywatnym gabinecie, a następnie leczyć go z wykorzystaniem państwowego sprzętu w placówce publicznej.

Nadciąga horda

Czy lewicowy ornament nadwiślańskich liberałów nie potrafi tego wytłumaczyć wielbicielom Mentzena? Przecież tylko dwie czy trzy osoby z setki opuszczających szkoły mogą zostać przedsiębiorcami! Nazywam się Milijon, bo za miliony kocham…

A tymczasem nosiciele teczek za partyjnymi bossami, sprawni potakiwacze i pyskacze znaleźli drogę do publicznych funduszy wiodącą poprzez mandat od wyborców. Umożliwia to duża swoboda dysponowania aparatem państwa. Stanowią prawo, używają mediów do marketingu wyborczego, posiłkują się funkcjonariuszami frontu ideologicznego i agencjami ochrony państwa. Czują się u siebie w sejmie, w rządowych pałacach i ministerstwach jak magnaci i warcholska szlachta I RP. Ich główna specjalność to standuperka oraz umiejętne fastrygowanie mechanizmów przechwytywania publicznej kasy. Lokalnych działaczy wynagrodzą posadami w zarządach komunalnych spółek. Komuś przecież musi służyć lokalna samorządność.

Dzięki staraniom premiera o lepszą Polskę zarejestrujesz firmę w jednym okienku, on skonstruuje dla ciebie „daninę", pracowników też ci zdyscyplinuje, ułatwi bankowy kredyt na parę dekad. To przecież przez nich przemawia Duch Przedsiębiorczości małego Janusza, dużego Rafała i Elona Wielkiego. Stworzyli sobie lokalny raj podatkowy w postaci tzw. rodzinnych fundacji – czarna dziura dla dochodów takich tytanów przedsiębiorczości jak posłowie Mentzen, Gawłowski, Nowak, Wipler, Obajtek.

Inwalidzi z wyborów. Ale może być jeszcze gorzej. Sztukmistrzów „obywatelskiej" standuperki, augiaszy prywatyzacji, kaszpirowskich polityki jak Hołownia, obrońców zygot jak Kosiniak-Kamysz, lewicę, która wstydzi się brzydkiego słowa na „k" – zastąpi pokolenie potomków związku Endeka z Sanacją. Nadciąga horda patriotów, takich jak „Batyr", Oze-Sroze, wójt z Pcimia, piwowar z Konfederacji. Do tego pisowskie tapiry, lokalni działacze zasłużeni dla partii-matki. Drużyna wyselekcjonowana przez emerytowanego inteligenta z Żoliborza. W tej sytuacji pozostanie szeptucha polecana przez tiktokowego Sławomira. On sam w razie potrzeby ma Luxmed.

TADEUSZ KLEMENTEWICZ

MÓŻDŻEK TYGODNIA

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Jasny wiosenny poranek. Rześko, ale już nie mroźnie. Dzień zapowiada się słoneczny, ciepły, prawie letni. Idziesz beztrosko polną dróżką. Krople rosy niedługo znikną z przydrożnych chwastów: mleczów, rdestów, babek i krwawników. Wietrzyk wpadnie w krzaki i zaraz z nich wypadnie.

Tuż przy ścieżce widzisz kamień. Zwykły, bazaltowy, poprzetykany kwarcytem, wielkości piłki do szczypiorniaka. Aż masz ochotę podnieść go i zważyć w dłoni. Albo, gdybyś się nie bał o stopę, może nawet byś go kopnął. Ale nie kopiesz, bo nagle spostrzegasz, że coś spod kamienia wypełza.

Co to? – zastanawiasz się. Wyjątkowo duża dżdżownica albo szara traszka, wciąż zdrętwiała po zimie? Może padalec? Zaskroniec? Wypełza i podnosi niewielką głowę. Schylasz się, żeby lepiej zobaczyć jaszczurkę lub węża.

Coś ci świta. Skądś znasz tego człowieczka, bo to najwyraźniej ludzki organizm. Mijają sekundy i już wiesz! To Marcin Mastalerek, były szef gabinetu byłego prezydenta.

Mastalerek wypluwa kawałek odgrzewanego kotleta, patrzy ci w oczy i mamrocze: – Konflikt prezydenta i rządu paraliżuje państwo, pozbawia naród szans rozwojowych, wreszcie jest niebezpieczny dla Polski i jej obywateli, zwłaszcza w czasie wojny toczonej u wschodnich granic.

– Co? – upewniasz się, bo bardziej banalnej diagnozy sytuacji politycznej nigdy wcześniej nie słyszałeś.

– Dlatego powołam komitet obywatelski, który ma zebrać 500 tys. podpisów pod wnioskiem o referendum w dniu wyborów parlamentarnych w 2027 r. Pytanie będzie fundamentalne i proste jednocześnie.

– Jakie? – pytasz, rozglądając się wokół i wciąż się dziwiąc, że rozmawiasz z maciupeńkim człowieczkiem, który żyje i gada ludzkim głosem.

– Jaki system władzy wybierasz: prezydencki jak w Ameryce czy kanclerski jak w Niemczech? – odpowiada Mastalerek.

Jasne! Polacy nigdy nie wybiorą czegoś, co niemieckie, z wyjątkiem samochodów.

Nie wychodząc ze zdumienia, ostatecznie nie kopiesz kamienia, tylko jak najszybciej zabierasz się stąd, bo gdybyś został, to spod kamienia mógłby jeszcze wypełznąć Andrzej Duda.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

eprasa.pl 1baae62809

Gwarant naszego jutra

Ile kosztują i co dają amerykańcy żołnierze na polskiej ziemi

Amerykańscy żołnierze mają u nas immunitet równy niemal immunitetowi dyplomatycznemu. Dlatego amerykański wojskowy obecny na terytorium Rzeczypospolitej może mieć gdzieś polskie prawo, polską policję, prokuraturę i sądy. I to już nie tylko w praktyce, w ramach przyjętego zwyczaju, ale formalnie, zgodnie z literą porozumień.

Poza prawem

Do 2020 r. obowiązywał mechanizm oparty na porozumieniach NATO, gdzie Polska miała teoretyczne prawo ścigania żołnierzy USA za przestępstwa popełnione na jej terytorium. Teoretyczne, bo praktyka była inna. Można się było zrzekać jurysdykcji na rzecz sądu amerykańskiego. Zawsze można było „porozumieć się". Zwłaszcza gdy incydent miał miejsce w czasie służby – a co to znaczy „w czasie służby", ustalała strona amerykańska.

Z chwilą wejścia w życie bilateralnej umowy EDCA nie ma już nawet tej cienkiej warstwy fikcji. Polska de facto zrezygnowała z jurysdykcji wobec żołnierzy USA także wtedy, gdy ci popełnią przestępstwo prywatnie, poza służbą, poza bazą.

Jeśli pijany żołnierz USA spowoduje wypadek śmiertelny pod Radomiem, zostanie przejęty przez amerykańskich żandarmów i wywieziony do bazy. Jeśli zgwałci kobietę w Białymstoku – zostanie odesłany do USA. A potem? Potem nic. Bo jeśli czegoś uczy historia podobnych przypadków z Niemiec, Japonii czy Włoch, to właśnie tego, że za oceanem takie sprawy rozpływają się we mgle. Nikt nie zna wyroku, nikt nie zna nazwiska, nikt nie wie, czy w ogóle toczyło się postępowanie.

W Polsce dotychczas nie było precedensu, by obywatel amerykański w mundurze został postawiony przed polskim sądem za czyn poza służbą. A w innych krajach przynajmniej od czasu do czasu wybuchają skandale. Na Okinawie po brutalnym przestępstwie dokonanym przez żołnierzy USA władze japońskie wymusiły, by sprawa trafiła przed japoński sąd. We Włoszech, gdy pilot amerykańskiego myśliwca przeciął linę kolejki linowej i zabił 20 osób, sprawa również nabrała rozgłosu. Ale skończyło się jak zwykle: sąd amerykański, łagodny wyrok, sprawa zamknięta. W Polsce nie wybucha nic – bo nawet nie dochodzi do momentu, w którym coś mogłoby wybuchnąć.

Kasa za ochronę

Na obecność US Army w naszym kraju Polska przeznacza rocznie 500 mln dolarów, czyli niemal 2 mld zł. Nie jest to jednak całość rachunku, bo to tylko kasa na utrzymanie i bieżące funkcjonowanie naszych sojuszników.

Gdy jednak zajrzymy do pozycji „przygotowanie infrastruktury", czyli tego wszystkiego, co trzeba zbudować, zanim pierwszy amerykański żołnierz się pojawi, to i tu również pojawia się liczba około pół miliarda dolarów, ale tym razem jako koszt inwestycyjny. To zaś oznacza, że Polska wydała – lub jest w trakcie wydawania – kolejnych niemal 2 mld zł na same bazy, magazyny, lotniska i zaplecze logistyczne. W praktyce więc mówimy już o 4 mld zł.

A to i tak dopiero początek liczenia. Bo infrastruktura wojskowa nie powstaje w próżni. Samo dostosowanie jednego lotniska do przyjmowania ciężkich samolotów transportowych to wydatek liczony w dziesiątkach milionów dolarów. Jeśli takich lokalizacji jest kilka, rachunek automatycznie rośnie do poziomu miliarda złotych i więcej. Do tego dochodzą magazyny sprzętu, których budowa dla ciężkiego uzbrojenia – czołgów, transporterów, artylerii – to inwestycje idące w kolejne setki milionów złotych.

Jeszcze bardziej niewidoczne, ale równie kosztowne są drogi i kolej. Modernizacja jednej linii kolejowej pod transport sprzętu wojskowego to wydatek rzędu kilkudziesięciu milionów złotych na odcinek, a w skali kraju mówimy o setkach milionów, jeśli nie miliardach. Drogi dojazdowe do baz, wzmocnione mosty zdolne przenieść ciężar czołgów, przebudowa skrzyżowań – każdy taki element to kolejne miliony.

Do tego dochodzi koszt utrzymania tej całej infrastruktury, który idzie w setki milionów złotych rocznie. Jeśli przyjąć ostrożnie 300–500 mln zł rocznie na eksploatację, energię, remonty i zabezpieczenie, to w ciągu dekady daje to kolejne 3–5 mld zł. Czyli sama obsługa tego, co już zbudowano, zaczyna kosztować więcej niż pierwotna inwestycja.

W efekcie mamy około 2 mld zł na budowę infrastruktury, około 2 mld zł rocznie na funkcjonowanie i obecność, plus kolejne setki milionów rocznie na utrzymanie infrastruktury. Jeśli to wszystko zsumować w horyzoncie 10 lat, wychodzi kwota rzędu 20–30 mld zł. A mówimy tylko o jednym elemencie systemu bezpieczeństwa, nie licząc zakupów sprzętu wojskowego, które same w sobie idą w dziesiątki miliardów dolarów. Zakupy te reguluje program Foreign Military Sales (FMS), w ramach którego Polska kupuje sprzęt od Stanów Zjednoczonych. Procedury te nie przewidują kar umownych za opóźnienia, co w praktyce zwalnia amerykańskich dostawców z odpowiedzialności finansowej. Tymczasem europejscy i polscy dostawcy dla wojska płacą rocznie w ramach kar za opóźnienia dostaw czy realizacji średnio 100 mln zł kar.

A w Niemczech przez dekady obecności wojsk USA znaczna część infrastruktury była finansowana przez stronę amerykańską. W Japonii roczny wkład gospodarza w utrzymanie wojsk USA przekracza 2 mld dol., ale dotyczy to obecności kilkudziesięciu tysięcy żołnierzy.

Polska wydaje setki milionów dolarów rocznie za obecność kilku–kilkunastu tysięcy wojskowych, co w przeliczeniu na jednego żołnierza daje poziom dziesiątek, a nawet setek tysięcy dolarów rocznie.

Można to łatwo policzyć. Bo jeśli przyjąć, że w Polsce stacjonuje około 10 tys. żołnierzy amerykańskich, a roczny koszt sięga 500 mln dol., to na jednego żołnierza przypada około 50 tys. dolarów rocznie tylko w kosztach „obsługi". Gdy doliczyć amortyzację infrastruktury i inwestycje, kwota ta spokojnie rośnie do 100–150 tys. dol. rocznie na osobę. Czyli 360–550 tys. zł za jednego żołnierza każdego roku. „Obecność wojsk" nie jest więc żadnym abstrakcyjnym pojęciem, tylko bardzo konkretną pozycją w budżecie państwa.

Lojalność ponad wszystko

Najgorsze w tym wszystkim jest to, że wydawanie całej tej kasy może być warte funta kłaków. Tak przynajmniej uczy zarówno teraźniejszość, pokazująca, jak wielkie bazy amerykańskie nieszczególnie skutecznie zapewniły bezpieczeństwo swoich arabskich sojuszników w Zatoce Perskiej, jak i wcale nie tak odległa historia.

Wietnam Południowy przez ponad dekadę słyszał, że USA są gwarantem istnienia kraju i jego władz oraz gospodarki wolnorynkowej. Stała obecność wszystkich amerykańskich sił zbrojnych i setki tysięcy walczących żołnierzy kazały milionom południowych Wietnamczyków ufać, że komuniści nie opanują kraju. Potwierdzały to zapewnienia kolejnych prezydentów USA. 30 kwietnia 1973 r. okazało się, że Stany się wycofują. Dziesiątki tysięcy pozostawionych przez sojusznika obywateli Wietnamu Południowego trafiło albo pod mur, albo do „obozów resocjalizacyjnych". Sceny z nieudolnej ewakuacji Amerykanów i ich popleczników z Sajgonu zapełniły dziesiątki filmów fabularnych.

Leżącą obok Wietnamu Kambodżą od roku 1970 rządził wspierany przez Amerykanów generał Lon Nol. Ameryka miała tam swoich żołnierzy, a ponieważ generał borykał się z miejscową komunistyczną partyzantką, to zarówno on, jak i Kambodżanie słyszeli od każdego oficjela amerykańskiego zapewnienie o dozgonnej przyjaźni i współpracy. Oraz to, że Kambodży nie opuszczą nigdy. Z dnia na dzień Jankesi jednak wyszli. Czerwoni Khmerzy zajęli w 1975 r. Phnom Penh, po czym wymordowali jedną trzecią narodu, który miał pecha uwierzyć Waszyngtonowi.

Po 11 września 2001 r. NATO uznało atak na WTC za atak na sojusz, więc w Afganistanie wraz z innymi pojawili się amerykańscy wojskowi. Szybko pokonali talibów i pozwolili lokalnym niefundamentalistom być obywatelami w miarę świeckiego państwa muzułmańskiego. Przez dwie dekady pokolenie młodych Afgańczyków z większych miast zaczęło rozumieć, czym jest współczesna cywilizacja. Rząd afgański miał jakie takie zaplecze demokratyczne, a nade wszystko deklaracje amerykańskiej pomocy. Gdy prezydentem USA po raz pierwszy został Trump, z ortodoksami się dogadał i obiecał, że US Army i reszta jej sojuszników grzecznie sobie z Afganistanu pójdzie. Sceny z lotniska w Kabulu, skąd chcieli uciec ci, którzy wierzyli w amerykańskie gwarancje, widzieli wszyscy. Co się stało ze zdradzonymi przez Waszyngton Afgańczykami, wiemy. Bo ci z nich, którym spodobała się zachodnia cywilizacja i sądzili, że mogą liczyć na humanitaryzm reszty świata, wylądowali na polsko-białoruskiej czy turecko-greckiej, nieprzekraczalnej dla nich, granicy sojuszników Stanów Zjednoczonych.

30 lat temu, po pierwszej wojnie w Zatoce, Kurdowie dogadali się z Waszyngtonem i rozpoczęli powstanie przeciwko Saddamowi. Już wtedy USA nie wywiązały się z obietnicy wsparcia, zostawiały powstańców na kilkuletnią pastwę dyktatora. Po 11 września amerykańskie zapewnienia wróciły, a Kurdowie kolejny raz uwierzyli. Udało im się – w Iraku wywalczyli sobie autonomię, której nikt nie był w stanie zagrozić do momentu powstania Państwa Islamskiego. Wtedy Kurdowie z Iraku i Syrii znów stali się potrzebni Stanom. Dostali nawet z Waszyngtonu gwarancję utworzenia na terenach Syrii i Iraku własnego państwa.

Kiedy jednak Państwo Islamskie rękami Kurdów obalono, na część kurdyjskich terenów w Syrii wjechały tureckie czołgi. Trump, niepomny obietnic składanych Kurdom, rzucił, że nie ma wobec nich żadnych zobowiązań, bo „nie pomogli nam w czasie II wojny światowej. Nie pomogli nam na przykład w Normandii". Chwilę po tym spiczu reszta amerykańskich oddziałów mających bronić Kurdów została z dnia na dzień wycofana. Turcy spacyfikowali pogranicze, wystrzelali bojowników, a ich przedstawicielstwa polityczne uznali za organizacje terrorystyczne.

Może właśnie dlatego wcale nienajgłupsze wydają się miliardowe wydatki na polskie wojsko i to, że Europa zobaczyła, że przy takim sojuszniku ruskie czołgi rychło będą mogły poić swe chłodnice w Sekwanie.

TOMASZ BOROWIECKI

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

WIEŚCI GMINNE i INNE

W Pacanowie 56-latek dokonał skoku stulecia na cztery piwa warte 25 zł. Zamiast po cichu wynieść towar pod kurtką, miał czelność rzucić personelowi szczere „biorę" i wyjść. Ta nadwyżka kultury osobistej zgubiła go bardziej niż pragnienie. Policja uznała to za „kradzież szczególnie zuchwałą". Zamiast mandatu za drobne wykroczenie amatorowi chmielu grozi zatem osiem lat więzienia. W państwie prawa taniej wychodzi ukraść milion po cichu niż cztery puszki z fasonem.

W jednym z bloków w Świdniku doszło do incydentu, który udowadnia, że zostawianie kotów samopas w mieszkaniu to proszenie się o katastrofę o skali biblijnej. Gdy woda zaczęła przesiąkać przez sufit lokalu na niższym piętrze, wezwano policję i straż pożarną. Okazało się, że sprawcą nieszczęścia jest kot – to wredne bydlę, które zamiast lizać się po przyrodzeniu, odkręciło kran i zamieniło mieszkanie w basen olimpijski. Świdnicki przypadek to tylko ostrzeżenie: dziś kran, jutro gaz, a pojutrze koty przejmą kontrolę nad kontami bankowymi. Jeśli wasz kot patrzy na was z uwielbieniem, to znaczy, że właśnie oblicza, ile litrów wody potrzeba, żebyście utonęli we własnym łóżku.

Polacy znowu wbiegli do Berlina, ale tym razem nie po to, by go wyzwalać czy szabrować, lecz by udowodnić, że mają najmocniejsze łydki w Europie. Damian Wicki i Andrzej Zaborowski, dwaj strażacy z Pomorza, wtarabanili się na 39. piętro wieżowca Park Inn szybciej niż przeciąg. 770 schodów z 20-kilogramowym żelastwem na plecach w niecałe sześć minut. Nasi chłopcy pokonali 364 drużyny z 11 krajów, obronili tytuł i poprawili zeszłoroczny wynik. Niemcy patrzyli z dołu z niemym podziwem. To miła odmiana po dekadach, gdy to oni zaglądali nam do okien bez pukania. Gratulujemy panom strażakom wydolności.

Okazuje się, że polskie piwo to nie tylko napój, ale i zagadka matematyczna. Inspekcja Jakości Handlowej Artykułów Rolno-Spożywczych odkryła, że w niemal połowie przypadków to, co wlewacie w siebie, nie jest tym, co obiecuje etykieta. 44,8 proc. skontrolowanych podmiotów serwuje płynną fikcję. Browary mają problem z opisem rzeczywistości. Na etykietach procenty są inne niż w butelkach, nie mówiąc już o alergenach. Te są w butelkach, a nie ma ich na etykietach. W kraju, gdzie piwo stało się paliwem mas, fakt, że co drugi kufel to oszustwo, nikogo specjalnie nie dziwi.

Polska to kraj, który na soli wyrósł, a teraz na niej osiada – tyle że importowanej. Mamy pod stopami 112 mld ton tego surowca, a mimo to sprowadzamy słone kryształki z Afryki czy Niemiec. Okazuje się, że słońce nad Tunezją pracuje taniej niż polski górnik w Kłodawie, a odparowanie wody morskiej jest mniej kosztowne niż drążenie dziur w ojczystej ziemi. To kolejna odsłona narodowego dramatu: mamy skarby, których nie opłaca się wydobywać, bo polska praca stała się luksusem, na który nas nie stać. Wolimy więc importować taniej z Maroka, jednocześnie pompując miliony w utrzymanie kopalń, które produkują głównie koszty i roszczenia.

ZUS opublikował nekrolog polskiej pracowitości za rok 2025. Wynika z niego, że jesteśmy społeczeństwem wybitnie kruchym: wystawiono nam 27,5 mln zwolnień, co przełożyło się na ponad 290 mln dni błogiego nicnierobienia. Statystycznie co drugi ubezpieczony uznał, że praca szkodzi zdrowiu bardziej niż jej brak, i udał się na średnio 11-dniowe rekolekcje od obowiązków. Najbardziej Polaków łupie w krzyżu. Choroby układu mięśniowo-szkieletowego wyłączyły nas z życia na ponad 42 mln dni. Tuż za plecami plasuje się jednak dusza: zaburzenia psychiczne i wypalenie zawodowe (34 mln dni) to najszybciej rosnąca gałąź gospodarki. Polak po prostu nie może już patrzeć na to, co widzi, więc idzie do psychiatry po legalną przepustkę z rzeczywistości.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

ABW nakryło na Mazowszu artystów, którzy postanowili wziąć sprawy europejskiej waluty w swoje ręce, nie czekając na łaskę Brukseli czy decyzje polskiego rządu o wejściu do strefy euro. Czterej dżentelmeni zgromadzili trzy tony papieru i ambicję wartą 360 mln euro. Państwo, jak zwykle zazdrosne o monopol na drukowanie kolorowych papierków, wpadło z wizytą i zepsuło zabawę. Fałszerzom pieniędzy grozi 25 lat. Szkoda tylko, że z taką samą gorliwością służby nie ścigają tych, którzy legalnie obniżają wartość pieniądza w oficjalnych gmachach. Ci fałszerze zamiast celi dostają zazwyczaj wysokie odprawy i limuzyny z kierowcą.

W Sobótce suweren postanowił, że burmistrz Mirosław Jarosz nie będzie już dłużej bawił się w hotelarza za publiczne pieniądze. W referendum mieszkańcy odwołali włodarza. Głównym powodem wykopania Jarosza był zakup Hotelu Miś za 10 mln zł z zamiarem przerobienia go na urząd miejski. Nazwa inwestycji okazała się prorocza. Cała sprawa wygląda jak wycięta z filmu Barei. Burmistrz przekonywał, że urzędnicy w hotelowych pokojach to szczyt nowoczesności, ale ponad trzy tysiące głosujących uznało, że wolą go widzieć na bruku niż w apartamencie. W efekcie Sobótka ma teraz kadłubowy samorząd, hotel bez przeznaczenia i perspektywę komisarza, który przyjedzie posprzątać po tym festiwalu niegospodarności.

Bydgoska Belma podpisała kontrakt na 3,4 mld zł na produkcję miliona min przeciwpiechotnych. Polska, w ramach projektu „Tarcza Wschód", oficjalnie wyrzuca do ko-

eprasa.pl 1baae62809

Onkowashing

Rakowy szlagier

Trwa narodowa ejakulacja po zbiórkowym sukcesie na zaraczone dzieciaczki. 17 kwietnia youtuber i influencer Piotr „Łatwogang” Garkowski uruchomił w serwisie YouTube stream zatytułowany „Słucham 9 dni dissu na raka, żeby pomóc dzieciom z Fundacji Cancer Fighters”. Dla niezorientowanych „diss” to taki styl w rapie, kiedy jedzie się po kimś lub po czymś jak po burej suce. Pomysł na akcję zrodził się po wysłuchaniu utworu „Ciągle tutaj jestem (diss na raka)”, nagranego przez rapera Bedoesa 2115 razem z 11-letnią Mają Mecan – podopieczną fundacji chorującą na białaczkę. Stream trwał dziewięć dni i szybko zassał w internecie. Do wydarzenia dołączyły tysiące widzów, celebryci, sportowcy (m.in. Iga Świątek, Robert Lewandowski), muzycy, aktorzy, influencerzy i firmy. Początkowy cel zbiórki – 500 tys. zł – osiągnięto z przysłowiowym palcem w dupie. Ostatecznie zebrano ponad 251 baniek i był to rekord świata w kategorii charytatywnych relacji na żywo w sieci.

Dla porządku obrad warto zaznaczyć, że jak by nie jebać krajowej ochrony zdrowia, akurat onkologia dziecięca wypada nieźle. Wyniki są porównywalne z najlepszymi ośrodkami w Europie Zachodniej i USA, z wyleczalnością nowotworów przekraczającą 80 proc. W przypadku ostrej białaczki limfoblastycznej skuteczność leczenia jest nawet lepsza niż średnia europejska. Nie zmienia to faktu, że kasy wciąż brakuje na skuteczne, lecz nierefundowane w Polsce terapie; leczenie eksperymentalne czy protezy i rehabilitację (tu NFZ płaci niewiele). Są jeszcze gigantyczne koszty dla rodziny, kiedy jeden z rodziców musi zrezygnować z pracy. Nie wspominając o dojazdach, hotelach i reszcie okołoonkologicznego bajzlu. Ktoś mógłby powiedzieć, że gdyby ci wszyscy influencerzy i celebryci, którzy na wizji golili sobie łby w ramach solidarności z chorymi, płacili odpowiednie podatki od swoich gigantycznych dochodów, to zbiórki nie byłyby aż tak potrzebne. Racja, to samo dotyczy firm, które dorzuciły się do rakowego koszyczka. Oczywiście ostatecznie za ustawę odpowiadają politycy, ale tak to niestety wygląda w państwach ze słabymi instytucjami, że bogaci, znani i lubiani mają ogromny wpływ na politykę, by nie rzec – lobbują, żeby im włos z finansowej głowy nie spadł. Trudno krytykować samo oddawanie kasy na zbiórkę, bo przecież znane marki wcale nie musiały tego robić. Niemniej obywatelskie brandzlowanie się nad celebrycko-korporacyjnym wzmożeniem skutecznie eliminuje jakąkolwiek refleksję nad przyczynami zapaści ochrony zdrowia w kraju nad Wisłą. Przy okazji Polactwo w charytatywnym amoku daje się ruchać podwójnie. Nie tylko jest beneficjentem dziurawego systemu uszytego przez wielkich, ale za zupełną darmochę robi reklamę biznesom o nieco nadwątlonej reputacji.

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Po sukcesie zbiórki media społecznościowe zalała fala hołdów dziękczynnych dla koncernów i korporacji, które sypnęły kasą. Do twardego rzygu, szczególnie na Instagramie, przewijają się materiały, w których młode Polaczątka deklarują, że od dziś będą używać tylko jednego kremu czy innego gówna. Portale na wyścigi publikowały, kto dał więcej. Lista jest długa i jeśli się w nią nieco wczytać, można znaleźć prawdziwe perełki.

Jedną z najwyższych wpłat rekordowego streamu (6,25 mln zł) zrobił wywodzący się z Polski międzynarodowy dom maklerski XTB. Akurat w połowie kwietnia Komisja Nadzoru Finansowego dała spółce srogiego klapsa. Regulator zarzucił brokerowi szereg nieprawidłowości w kontaktach z klientami oraz błędy w polityce zarządzania konfliktami interesów. Sprawa dotyczy działalności w latach 2021–2023. W dużym skrócie mówiąc, według KNF sposób prowadzenia działalności naruszał zasady rzetelności i zawyżał ryzyko dla klientów. Praktyki te wyceniono na 20 mln zł. Kara ma na celu wymuszenie poprawy standardów ochrony inwestorów detalicznych na rynku kapitałowym. Warto dodać, że w 2023 r. NSA oddalił skargę XTB w sprawie innej kary (9,9 mln zł) za działania w latach 2014–2015.

5,5 mln zł wpłaciła na zbiórkę firma Zen.com z polskim rodowodem, siedzibą m.in. w Londynie i licencjami m.in. na Litwie. W radzie nadzorczej firmy zasiada eksprezydent Andrzej Duda. W grudniu 2025 r. firma otrzymała 1,8 mln euro kary od Banku Litwy m.in. za uchybienia w przeciwdziałaniu praniu pieniędzy. Aktualnie Prokuratura Regionalna w Warszawie prowadzi czynności sprawdzające wobec molocha po doniesieniach dziennikarza TVN24 Piotra Szostaka, jakoby firma działała jako bramka płatnicza dla nielegalnych w Polsce kasyn internetowych.

Na kwotę 1,3 mln zł szarpnęło się w geście dobroczynności wydawnictwo Niezwykłe specjalizujące się w romansach i książkach dla nastolatków. Wiewiórki donoszą, że ruch na stronie po wpłacie był tak duży, że padały serwery. Tymczasem w listopadzie 2025 r. Komisja Etyki Reklamy uwzględniła skargę rzeczniczki praw dziecka Moniki Horny-Cieślak na działania promocyjne wydawnictwa. Chodziło o promowanie przemocy i samobójstwa, wykorzystywanie szoku, lęku i zagrożenie dla rozwoju dzieci i młodzieży. Co odwaliło wydawnictwo? Opublikowało w swoich social mediach krótki film promocyjny. Pokazywał bardzo młodą dziewczynę o imieniu Nika z pętlą na szyi, przyczepioną liną do ruszającego z dużą prędkością auta. Lina się rozwijała i szarpała za pętlę. Towarzyszył temu napis „Kup bilet, żeby Nika nie musiała więcej ryzykować swoim życiem”. Filmik promował nową książkę. Horna-Cieślak zaznaczyła, że w kontekście kryzysu zdrowia psychicznego wśród dzieci i młodzieży takie promocje są niedopuszczalne i mogą zagrażać młodym odbiorcom. Wydawnictwo zaliczyło też wpadkę z promowaniem groomingu i obniżaniem wieku rekomendowanego dla 18 plus.

1 mln zł wpłaciły marki kosmetyczne OnlyBio.life i Star.Space. Spółką matką i właścicielem obu marek przez spółki zależne jest Hub.Tech. W 2024 r. prezes Hub.Tech-u Artur B., zasiadający również w zarządach spółek córek, doświadczył nieprzyjemnego incydentu. Został zatrzymany przez funkcjonariuszy białostockiego zarządu Centralnego Biura Śledczego Policji na polecenie Prokuratury Regionalnej w Białymstoku prowadzącej śledztwo w sprawie wyłudzenia kasy z budżetu państwa oraz Unii Europejskiej. Oprócz niego zatrzymano także Marcina P., byłego wiceprezesa Hub.Techu, i Marcina Ł., byłego członka rady nadzorczej. Firmy zarządzane przez miłych panów podpisały co najmniej 26 umów na dofinansowanie projektów badawczych o całkowitej wartości ponad 305 mln zł, z czego wartość dofinansowania wyniosła 167 mln zł. Proceder wyłudzania kasy polegał na przedkładaniu nierzetelnej (he, he) dokumentacji, która nie odzwierciedlała faktycznych kosztów badań i produkcji. Cała trójca wyszła z aresztu po trzech miesiącach i wpłaceniu poręczenia majątkowego z zakazem wyjazdu z kraju i kontaktowania się z innymi podejrzanymi. Stracili też stołki w firmach, ale niesmak pozostał.

Cóż z tego? Przecież każdy ma coś za uszami. Może nie warto o tym mówić, żeby nie gasić entuzjazmu? Otóż nie.

Strategia poprawy wizerunku poprzez działania społeczne, które mają odwrócić uwagę od kontrowersji i skandali ma swoją nazwę: charity washing. Dosłownie: „charytatywne pranie”.

Prawa obywatela są ważniejsze niż emocje i poruszenie, którego nie starczy dla wszystkich. Warto o tym pamiętać w kontekście tego, w czyim interesie działa państwo w pierwszej kolejności, i nie dać sobie wyprać łba.

IDALIA DUBICKA

sza konwencję ottawską, której trzymała się przez 30 lat, by znów móc legalnie i masowo urywać nogi. Militarny absurd za gigantyczne pieniądze. Nasi stratedzy stawiają na barbarzyństwo rodem z poprzedniego stulecia, licząc, że wróg przyjdzie do nas piechotą przez las. Tymczasem nowoczesna wojna to rakiety i głowice, które mają głęboko w poważaniu bydgoskie miny. Zanim sołdat nadepnie na narodowy produkt, polskie niebo zostanie przeorane rakietami średniego zasięgu. Zatem wydajemy miliardy na archaiczne pułapki, stając się etycznym skansenem, który zamiast bronić nieba, minuje własne krzaki.

▮ Ostrowiecka firma Grant po 25 latach kucia stali umiera. Bilans tej gospodarczej stypy to 28 mln zł długu i 92 pracowników wyrzuconych na bruk bez pensji za ostatnie miesiące. Firma, która kiedyś budowała maszyny dla górnictwa i energetyki, ostatnio produkowała już tylko pisma do komorników. Największym wierzycielem jest państwo. ZUS i urząd skarbowy czekają na 12 mln zł. Zatem ćwierć wieku tradycji kończy się pod butem syndyka, a jedyną konstrukcją stalową, jaka pozostała w zakładzie, jest kłódka na bramie. Robotnikom na pocieszenie zostaje 1,6 mln zł niewypłaconych należności, które mogą sobie wpisać w pamiętnikach, bo w kasie pusto jak w głowach zarządu.

▮ W Starej Kornicy doszło do selektywnej zbiórki władzy. Gdy w Ameryce próbowano przewietrzyć głowę Trumpowi, lokalny specjalista od odpadów postanowił zutylizować panią wójt Beatę Jerzman. 42-letni pracownik śmietniska użył noża zamiast spluwy, celując w szyję i nerki władzy. Pani wójt poleciała śmigłowcem do szpitala, a nożownik trafił za kraty. Obie „głowy państwa”, ta z Waszyngtonu i ta z Kornicy, przeżyły, co tylko dowodzi, że politycy są równie trudni do usunięcia co azbest. Złego licho nie bierze, niezależnie od szerokości geograficznej.

RJ

PS Źródłem informacji jest prasa prowincjonalna, a więc przekaz z natury niepełny i obarczony ryzykiem zniekształceń. Traktujemy je jako relacje cudze, których prawdziwości nie możemy w pełni zweryfikować. Z tego względu nie stanowią one podstawy do formułowania wniosków ogólnych ani prawnych.

SŁOWO CZERWONE

Bunt jest lewicowy

Nie wstydźmy się swoich korzeni

Kiedy w Polsce ktoś chce powiedzieć, że jest w porządku, to mówi, że jest prawicowy. Ale to niewiele znaczy, bo cała masa „prawicowców” wyraża szacunek mojej osobie i temu, co robię. A przecież to, co robię, jest kwintesencją lewicowości. Chodzi o nieodmienne stawanie po stronie słabszych i zbuntowanych. Kiedyś w areszcie opowiadałem współwięźniom, działaczom Solidarności, robotnikom swoją wizję sprawiedliwego ustroju. Byli zachwyceni, do czasu aż nie nazwałem tego socjalizmem. Żeby się tak nie nazywało, ubolewali.

Rys. TOMASZ ROGOWSKI

Młodzi robotnicy chętnie wstępują do partii narodowych, bo mają wrażenie, że to ugrupowania radykalne. A oni są zbuntowani. Kiedy jednak mój znajomy narodowiec opowiedział z oburzeniem swojemu posłowi z Konfederacji, że jacyś oszuści na podstawie przedwojennych akcji spółek postanowili przejąć grunty, na których stoją bloki z lokatorami, ten odpowiedział mu, że to przecież dobry biznes kupić tanio, sprzedać drogo. I wtedy narodowcowi szczęka opadła, bo zrozumiał, że nie każdy prawicowiec jest „prawy”. Naziol Braun wyznał w końcu swe poglądy. Jest to zestaw ultra neoliberalny z żądaniem zniesienia płacy minimalnej i wszelkich zasiłków na czele. W miarę jak prawda o Braunie i jego poglądach będzie się upowszechniać, poparcie dla Korony Polskiej będzie malało.

W fabryce Jeremias wyrósł lider, który poprowadził strajk. Dostał wsparcie od Inicjatywy Pracowniczej i Razem. Obecnie głosi poglądy lewicowe, socjalne, choć większość załogi jest wciąż pod wpływem Konfederacji.

Bardzo trudno przekonywać ludzi pracy do lewicy, bo została jej przyklejona łatka formacji skupiającej swe wysiłki wyłącznie na prawach społeczności LGBT. Razem, które odstaje od tego wizerunku, ani w nazwie, ani w barwach nie nawiązuje do lewicy. Niewiele więc wnosi do pokazania lewicy jako podmiotu stojącego po stronie pracy w jej walce z kapitałem.

Unikanie afirmacji lewicowej, robotniczej tradycji spod znaku PPS jest błędem. Bo trudno coś wywalczyć bez korzeni. Nowa Lewica z Czarzastym na czele nigdy nie zrzuci z siebie łatki postkomuny, spadkobiercy partii, która strzelała do robotników. A jej współrządzenie z liberałami, którzy więcej wydają na zbrojenia niż na lecznictwo, dopełnia fatalnego wizerunku.

Lewica, która unika czerwonego koloru, naszego sztandaru, który płynie ponad trony, rozpuszcza się we frazie „środowiska liberalne i lewicowe” i nie jest w stanie przyciągnąć ludzi pracy.

Padamy ofiarą wahadła. Skoro reżim niedemokratyczny nazywał się lewicowy, to wolności ludzie szukają po prawej stronie. Podobnie jest w Portugalii, gdzie nawet partia monarchistyczna nazywa się Ludową Partią Monarchistyczną, aby uniknąć oskarżenia o faszyzm. W Portugali reżim był prawicowy, więc w wyborach prezydenckich lewicowy kandydat socjalistyczny zmagał się w drugiej turze z prawicowym socjaldemokratycznym.

Były próby mrugania oczkiem i przyznawania się do pozytywnych aspektów Polski Ludowej. Ale rządy neoliberalne tzw. lewicy Leszka Millera zniweczyły te próby. Znakiem firmowym tych rządów były prywatyzacja i eksmisja na bruk. A blokady eksmisji urządzali tylko socjaliści i anarchiści.

Prawica miała w nosie wyrzucanych lokatorów, stała twardo po stronie właścicieli, po stronie wyrzucających. Ale dopiero gdy ta skrajna prawica sięgnie po władzę, zwykli ludzie pracy zrozumieją, że prawica to obciach.

Decydującym kryterium jest bunt. Antysystemowość. A do sejmu wejdą jak zwykle tłuste koty. Oni będą pilnować starego porządku, systemu, który im gwarantuje, że nie zapłacą podatku od dowolnej liczby mieszkań. Mimo krzykliwej buntowniczej retoryki przypilnują przede wszystkim własności i zysków. Nie zrobią nic dla dobra ogólnego, bo to uszczupliłoby zyski ich i tych, którzy fundnęli im kampanię.

Popierając strajki, walcząc o niewypłacone wynagrodzenia, o to, by zagraniczne koncerny respektowały polskie prawo pracy i wyroki polskich sądów, odróżnimy się od prawicy radykalizmem połączonym z patriotyzmem, możemy przebić prawicę tym, że naprawdę stoimy po stronie świata pracy. Ale żeby się udało, musi wreszcie powiać wiatr. Gdy ludzie upomną się o swoje, musimy tam być z naszymi czerwonymi sztandarami.

PIOTR IKONOWICZ

eprasa.pl 1baae62809

Upadnij i nie wstawaj

Polska nie jest krajem przyjaznym swojemu obywatelowi

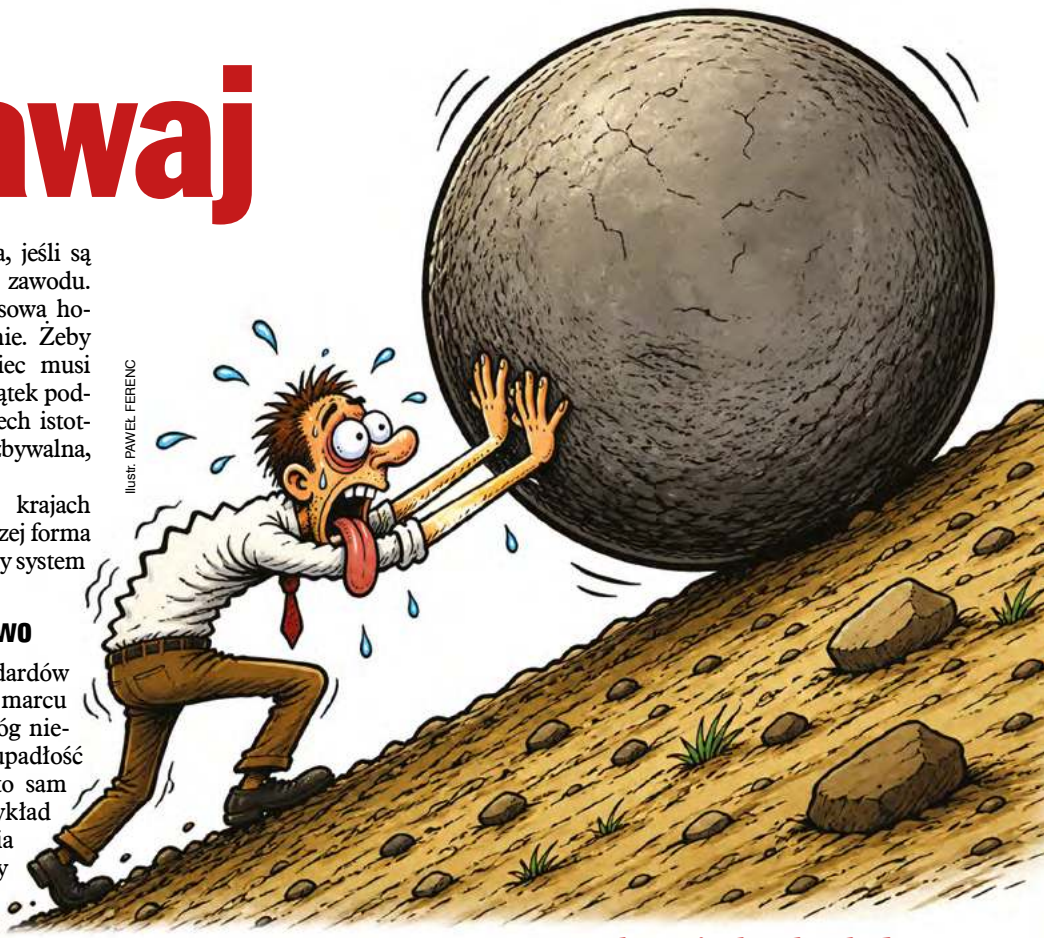

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Upadłość konsumencka w Polsce przeszła długą drogę od fikcyjnego przywileju dla wybranych do realnego narzędzia umożliwiającego oddłużenie. Z tym że nawet teraz – w porównaniu z systemami zachodnimi – bardziej przypomina gehennę niż świeży start.

Indywidualne bankructwo, czyli wspomniana upadłość, to proces sądowy mający pomóc tym, którzy „trwale utracili zdolność do regulowania swoich zobowiązań". Tyle że do 2020 r. nikt w Polsce nie traktował tego poważnie. W 2009 r., gdy pojawiły się pierwsze przepisy, liczba upadłości nie przekroczyła 30 rocznie. A wszystko dlatego, że wówczas obowiązywała zasada, że kto choć odrobinę zawinił, może zapomnieć o jakiejkolwiek łasce.

Rynek uwalniający

W pierwszych latach prawo wymagało, by niewypłacalność powstała z przyczyn całkowicie niezależnych od dłużnika, czyli najlepiej, żeby zbankrutował święty. Człowiek musiał być nie tylko zadłużony, ale i bez skazy. Upadłości były więc spotykane równie często jak czterolistna koniczyna.

Według powszechnej opinii, w zachodnich demokracjach ludzie potrafią zbankrutować bez utraty godności. W praktyce wszystko zależy od kraju, stanu, a nawet humoru urzędnika. Jedni mają systemy, które pozwalają zadłużonym wrócić do życia, inni – takie, które tylko łaskawie pozwalają nie umrzeć z głodu.

W Stanach Zjednoczonych system upadłości osobistej uchodzi za najbardziej liberalny, a przez to najczęściej wykorzystywany – ponad pół miliona obywateli rocznie. Dlaczego? Bo USA to kraj, w którym łatwo popaść w długi, ale też stosunkowo łatwo się z nich wydobyć.

Narzędzia do wyzwolenia noszą nazwę Chapter 7 i Chapter 13. Pierwszy to klasyczna likwidacja majątku – komornik pakuje do wora, co się da sprzedać, a reszta długów znika jak koszmar senny. Drugi to układ – dłużnik dogaduje się z wierzycielami, że przez parę lat będzie spłacał, co może, a reszta też zniknie. Brzmi pięknie, ale jest haczyk. Amerykański system pozwala zachować część majątku – np. ubrania, meble, lodówkę czy nawet stary samochód – pod warunkiem, że nie jest wart więcej niż kilka tysięcy dolarów. W Teksasie można zachować dom bez względu na jego wartość, jeżeli nie przekracza określonego rozmiaru działki. W Kalifornii przepisy pozwalają zachować część gotówki albo droższy komputer.

Cywilizowany reset

W Wielkiej Brytanii bankrutem zostaje się na 12 miesięcy. Przez ten czas syndyk może sprzedać, co się da, choć znowu: nie wszystko. Ubrania, sprzęt kuchenny, narzędzia do pracy – zostają. Ale jeśli masz dwa rowery, to jeden idzie pod młotek. Telewizor? Może zostać, ale tylko jeden.

Dom? Jeśli nie masz zaległości w spłacie kredytu i jego wartość nie przekracza granicy rozsądku, czasem można go ocalić. Ale to zależy od lokalnej interpretacji. Samochód? Tak, ale tylko jeśli jest niezbędny do dojazdu do pracy. Po roku większość długów przepada. Ale nie te z tytułu oszustwa, kary sądowej czy alimentów. Ba, dla osób z niskimi dochodami i minimalnym majątkiem jest możliwe całkowite oddłużenie bez likwidacji czegokolwiek.

Niemcy nie znają litości. Tam zanim dług zostanie odpisany, trzeba przez co najmniej trzy lata oddawać syndykowi każdą złotówkę ponad minimum egzystencji. Przez ten czas trzeba pracować, meldować zmiany, nie kłamać, nie oszukiwać. W zamian po 3–6 latach człowiek dostaje rozgrzeszenie finansowe. Choć znowu: nie za wszystko. Alimenty, kary, długi z oszustw – zostają.

Cały majątek – z wyjątkiem niezbędnego do życia – ląduje w masie upadłościowej. Mieszkanie, jeśli nie spełnia kryteriów minimum, też. Samochód? Może zostać, jeśli służy do pracy.

Co można zachować? Łóżko, stół, krzesła, ubrania. Komputer, jeśli służy do nauki lub pracy. Narzędzia, jeśli są niezbędne do wykonywania zawodu. Pies albo kot – tak, ale luksusowa hodowla kotów bengalskich – nie. Żeby tego nie doświadczyć, Niemiec musi zawczasu zminimalizować majątek podlegający egzekucji. W Niemczech istotną rolę odgrywa tzw. masa niezbywalna, którą wyznacza sąd.

We wszystkich opisanych krajach bankructwo to nie luksus, a raczej forma cywilizowanego resetu, bo każdy system pozwala coś zachować.

Nie stać cię na bankructwo

Do cywilizowanych standardów doszlusowaliśmy dopiero w marcu 2020 r. Zniesiony został wymóg niewinności. Od tego momentu upadłość mógł ogłosić również ten, kto sam się wpędził w długi – na przykład biorąc pożyczki bez pokrycia albo przejadając środki z karty kredytowej. Nawet rażące niedbalstwo nie było już przeszkodą. Efekt? W 2020 r. sądy ogłosiły ponad 13 tys. upadłości konsumenckich, w 2021 – 18 tys., a w 2024 – już ponad 21 tys. System przestał być elitarny. I to mimo że i tak ktoś pod kreską ma bardziej przerąbane niż obywatele bardziej cywilizowanych krajów. Bo u nas w momencie ogłoszenia upadłości dłużnik traci zarząd nad swoim majątkiem. Wszystkim, co posiada, zarządza syndyk. Ale nie wszystko trafia pod młotek.

Polskie prawo, choć surowsze od anglosaskiego, przewiduje wyłączenia. Dłużnikowi nie można zabrać odzieży, bielizny, obuwia, sprzętu domowego podstawowej potrzeby (lodówki, pralki, łóżka, stołu, krzesła) narzędzi pracy (np. maszyny do szycia dla krawcowej), niektórych świadczeń (800 plus, alimentów, renty i zasiłków celowych), no i części dochodu, która objęta jest kwotą wolną od zajęcia. Ale już samochód, mieszkanie, oszczędności czy elektronika wchodzą do masy upadłościowej. Mieszkanie można zachować, tylko jeśli syndyk uzna, że jego sprzedaż byłaby nieopłacalna albo pozbawiłaby dłużnika minimum egzystencji. To jednak niespotykana niemal rzadkość.

Konkrety? Małżeństwo z Wrocławia ogłosiło upadłość. On – spawacz, ona – fryzjerka. Mieli mieszkanie własnościowe, które syndyk sprzedał, mimo że spłacili już 80 proc. kredytu. Samochód, roczny Ford Focus, też poszedł na licytację. Zostali z walizką ubrań i czajnikiem.

Inna sprawa: samotna matka z Gdyni. Zostało jej mieszkanie, bo było komunalne. Pralka, lodówka, łóżko dzieci – również. Ale laptop do pracy zdalnej przepadł, bo uznano go za zbyt cenny. Syndyk sprzedał go za 2,5 tys. zł.

Właściwe przygotowanie

Sądy mają jednak więcej swobody niż parę lat temu. Jeśli uznają, że dłużnik działał rozważnie, plan spłaty, czyli oddawania prawie wszystkiego, co się zarobi, może być bardzo krótki – 12, 24 albo 36 miesięcy. Jeśli jednak okaże się, że ktoś sam się wpakował w kłopoty, sąd może wydłużyć plan do siedmiu lat. Możliwe są też dwa scenariusze skrajne: dłużnik nie ma żadnego majątku i żadnych perspektyw – sąd może od razu umorzyć długi, bez ustalania planu spłaty – lub dłużnik ewidentnie kombinował albo działał w złej wierze – sąd może w ogóle odmówić umorzenia zobowiązań. Da się również uniknąć spłaty, a najlepszą drogą jest udowodnienie, że nie ma się z czego płacić.

Brak majątku, brak dochodów, brak perspektyw – to poważne argumenty. Sąd, widząc człowieka bez grosza, może stwierdzić, że dalsze gnębienie go planem spłaty nie ma sensu.

Można także skorzystać z pomocy fundacji specjalizujących się w oddłużaniu. Pomagają napisać wniosek, zebrać dokumenty, a czasem także podpowiedzą, jak się „właściwie" przygotować do bankructwa. Ale uwaga: jeśli ktoś głupio pozbywał się majątku przed ogłoszeniem upadłości, przekazywał go rodzinie, wycofywał gotówkę, to sąd może uznać to za próbę wyłudzenia i cały proces szlag trafi.

I dlatego na tle USA, Wielkiej Brytanii czy Niemiec Polska wciąż wypada blado. Jednak nawet taki system to dziś dla wielu jedyna nadzieja. Bo lepiej przeżyć reset i zbankrutować raz, mając przerąbane przez parę lat, niż przez dekady żyć bez prawa do konta, pracy i normalnego życia.

TADEUSZ JASIŃSKI

Życie W DOBROBYCIE

● „Wystarczy pracować, odkładać składki i będzie emerytura" – przez lata powtarzano nam to jak prawdę objawioną, jakby system był uczciwą umową między państwem a obywatelem. Tymczasem liczby pokazują, że to raczej umowa jednostronna, w której państwo pamięta o składkach, ale zapomina o tym, żeby z tych składek dało się później żyć. Bo dziś zamiast emerytur mamy świadczenie. Na koniec 2025 r. 459 317 osób dostawało z ZUS pieniądze niższe niż emerytura minimalna, która wynosi 1978,49 zł brutto, czyli ok. 1800 zł na rękę. Jeszcze rok wcześniej takich emerytur było 433 tys., co oznacza wzrost o ponad 26 tys. w ciągu zaledwie 12 miesięcy. Ba, w ciągu 15 lat liczba emerytur niższych niż minimalna wzrosła ponad 19-krotnie, a ich udział w całym systemie podskoczył z 4,2 proc. w 2011 r. do 10,1 proc. w 2025 r. Czyli co dziesiąta nowa emerytura w Polsce to dziś świadczenie poniżej minimum. Ale prawdziwy majstersztyk systemu zaczyna się dopiero przy konkretnych kwotach. Bo o ile 1800 zł na rękę można jeszcze uznać za coś, co pozwala przetrwać, to ZUS wypłaca dziś emerytury, które mają wartość… dwóch groszy. To dlatego, że aby mieć gwarancję minimalnej emerytury, kobieta musi przepracować 20 lat, a mężczyzna 25. Jeśli tego nie zrobi, państwo umywa ręce i wypłaca tyle, ile wynika ze składek. A skoro składek nie było albo były symboliczne, to emerytura też jest symboliczna, gdyż aż 44,9 proc. osób pobierających te głodowe świadczenia nie odprowadziło ani jednej składki po 1998 r. Nie dlatego, że nie chciało, tylko dlatego, że pracowało w takich warunkach, w jakich pracować pozwalała rzeczywistość – na czarno, na umowach śmieciowych albo w ogóle poza systemem. Resort tłumaczy to elegancko, mówiąc o „uwarunkowaniach gospodarczych" i „specyfice rynku pracy okresu transformacji", czyli w praktyce o tym, że ludzie pracowali, jak mogli, a nie jak chcieli. Bo kiedy wybór jest między pracą bez składek a brakiem pracy, to większość wybiera pracę. Problem w tym, że po 30 latach okazuje się, że był to wybór między biedą wtedy a biedą dziś.

● Niestety, wygląda na to, że historia ta może się powtórzyć, bo rynek pracy w Polsce zaczyna przypominać sytuację, w której wszyscy stoją w miejscu i patrzą na siebie nawzajem, zastanawiając się, kto pierwszy się ruszy – tyle że coraz częściej tym ruchem jest krok w tył. Wszak nadal najwięcej firm deklaruje, że nic nie zrobi i utrzyma zatrudnienie na dotychczasowym poziomie, ale takich przedsiębiorstw jest już tylko 72,2 proc. Najbardziej wymowna jest jednak liczba firm, które chcą zatrudniać, bo tych jest już zaledwie 13,7 proc., podczas gdy rok wcześniej było ich 16,7 proc., co oznacza spadek niemal o jedną piątą, a to w realiach rynku pracy jest różnica kolosalna, bo przekłada się na tysiące ludzi więcej krążących między ogłoszeniami, które coraz częściej okazują się martwe lub już dawno nieaktualne. Jeszcze gorzej wyglądają dane o firmach planujących zwolnienia, bo odsetek takich przedsiębiorstw skoczył z 4,9 proc. do 9,8 proc., czyli dokładnie się podwoił, a co więcej, jest to najwyższy poziom od 2017 r. Ekonomiści wygadują o „większej ostrożności" i „optymalizacji kosztów", co oznacza, że pracownik przestaje być zasobem do rozbudowy, a zaczyna być kosztem do ograniczenia. Dochodzi do tego jeszcze zjawisko zamrażania rekrutacji, które w statystykach wygląda niewinnie, bo nie widać go w liczbie zwolnień, ale w praktyce oznacza, że nowych miejsc pracy po prostu nie przybywa, a jeśli nie przybywa, to każdy, kto traci zatrudnienie albo dopiero wchodzi na rynek, trafia na coraz ciaśniejsze pole gry. Powstaje sytuacja, w której oficjalnie bezrobocie może jeszcze nie eksploduje, ale realne szanse na znalezienie pracy zaczynają się kurczyć. Zamiast rynku pracownika mamy rynek ostrożnego pracodawcy.

● W kraju, którego rząd prowadzi propagandę sukcesu ekonomicznego, nic nie powinno już śmieszyć, a jednak… 169 mln zł – tyle wynosi kapitalizacja spółki, która właśnie ogłasza, że zamierza rozwijać działalność wydobywczą na drugim końcu świata, stając się globalnym graczem surowcowym, choć na razie operuje kwotami, które w tej branży są raczej kieszonkowym niż poważnym kapitałem. Spółka Bumech ogłosiła bowiem przejęcie kopalni węgla w RPA, co brzmi jak ruch godny wielkich koncernów surowcowych, tylko że gdy zajrzeć w liczby, okazuje się, że mówimy o transakcji, która w realiach globalnego górnictwa wygląda raczej jak zakup używanej maszyny. Kupowana kopalnia ma bowiem zdolność wydobywczą sięgającą około 2 mln ton węgla rocznie, co w świecie, w którym pojedyncze projekty liczone są w dziesiątkach milionów ton, nie jest wynikiem imponującym, ale za to jej największą „zaletą" jest fakt, że potrzebuje ogromnych inwestycji, które według szacunków mają sięgnąć kilkudziesięciu milionów dolarów, czyli kwoty, która dla globalnych gigantów jest jedną z pozycji w budżecie, a dla spółki o kapitalizacji 169 mln zł oznacza finansową wspinaczkę bez zabezpieczenia. W komunikatach spółki pojawiają się słowa o rozwoju, ekspansji i budowaniu pozycji, które w zestawieniu z liczbami wyglądają śmiesznie. Najbardziej uderzające jest jednak to, jak łatwo można stworzyć wrażenie wielkości, operując odpowiednim językiem i wybierając odpowiednie fragmenty rzeczywistości, bo wystarczy powiedzieć „kopalnia w RPA", aby wywołać skojarzenia z globalnym biznesem, podczas gdy za tym hasłem kryje się projekt wymagający ogromnych nakładów, niepewny co do przyszłości i daleki od stabilności, którą sugerują komunikaty. I tak oto powstaje historia, w której niewielka spółka za niewielkie pieniądze kupuje aktywo wymagające ogromnych inwestycji i przedstawia to jako krok w stronę światowej potęgi. Widać Bumech zaraził się tym od rządu.

● „Inwestowanie dla każdego" – to hasło od lat robi karierę, szczególnie w reklamach firm, które z gry na giełdzie uczyniły produkt dostępny na kliknięcie w telefonie. Rzeczywistość jest jednak znacznie bardziej skomplikowana, o czym przekonała się jedna z najbardziej rozpoznawalnych spółek tego rynku, czyli XTB, która po kontroli Komisji Nadzoru Finansowego została ukarana kwotą ponad 9,9 mln zł, która dla spółki działającej na rynku finansowym stanowi raczej koszt prowadzenia działalności niż realne zagrożenie. Tym bardziej że w tym samym czasie firma notuje przychody i zyski liczone w setkach milionów złotych. Nadzór przyczepił się słusznie do sposobu informowania klientów o ryzyku i zasadach działania usług. Bo jeśli ktoś jest zachęcany do inwestowania, a jednocześnie nie dostaje pełnej informacji o tym, jak łatwo może stracić pieniądze, to trudno mówić o świadomej decyzji. W tej historii najbardziej uderzające jest to, czego w niej nie ma. Nie ma bowiem żadnej informacji o tym, żeby ktokolwiek odzyskał pieniądze, które stracił na inwestycyjnej ruletce. Kara w wysokości 9,9 mln zł nie zmieni więc faktu, że ktoś stracił oszczędności życia. Dla tych, którzy popłynęli finansowo, nie ma to żadnego znaczenia. Tak jak i to, że zostali wykołowani nie na jakichś kryptowalutach, ale w działce, której dotyczy tyle ustaw i regulacji, że wszystko powinno być tam bardziej niż uczciwe.

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

● Do lotniska w Modlinie wreszcie ma powstać linia kolejowa. Wreszcie, czyli po kilkunastu latach funkcjonowania portu, który obsługuje miliony pasażerów rocznie, ale do którego najłatwiej dojechać samochodem. W słowie „wreszcie" zawiera się cała historia polskiej infrastruktury, w której zbudowanie kilku kilometrów torów urasta do rangi problemu narodowego wymagającego lat analiz, sporów i decyzji. Bo liczby są tu równie wymowne, co kompromitujące. Lotnisko w Modlinie działa od 2012 r. i w tym czasie przewinęły się przez nie dziesiątki milionów pasażerów. Ale teraz ma być dobrze. Plan zakłada budowę około 6 km nowej linii kolejowej, która połączy istniejącą trasę z samym terminalem. Koszt inwestycji szacowany jest na kilkaset milionów złotych. Tyle że rzecz dzieje się w momencie, gdy państwo planuje budowę Portu Polska, który ma kosztować dziesiątki miliardów złotych i przejąć ruch z lotnisk w okolicach Warszawy. A skoro tak, to inwestowanie dziś setek milionów złotych w linię kolejową do portu, który w przyszłości ma zostać zdegradowany, wygląda co najmniej osobliwie. Tym bardziej że na tych 6 km torów pierwsze pociągi pojawią się dopiero za trzy lata. Naprawdę w XXI w. 6 tys. m torowiska będzie budowane przez 36 miesięcy w kraju zapraszanym do G20!

TTJ

eprasa.pl 1baae62809

Polskie sukcesy w podstawianiu nogi do kucia

Z kim zatańczy Łukaszenka?

W sierpniu 2025 r. z ust prezydenta Stanów Zjednoczonych Donalda Trumpa padły słowa o tym, że pogawędził sobie z Alaksandrem Łukaszenką z Białorusi. Trump nazwał go „bardzo szanowanym prezydentem" i „silnym, szanowanym przywódcą". Niby od dawna wiadomo, że słowa, które wypuszcza z siebie przywódca Wolnego Świata, są gówno warte, ale jednak lokajskiej pozycji Polski wobec USA nikt nie odwoływał. No i głupio wyszło, szczególnie dla polskich mediów, które od lat bez specjalnego skrępowania wycierały sobie różne części ciała nazwiskiem Łukaszenki. „Despota, reżimowiec, ostatni dyktator Europy, zamordysta", to tak, w oficjalnym medialnym nurcie. Sieci społecznościowe nie krępowały się już niczym: „Hitler" „morderca", „siepacz" i różne takie. A tu nagle takie coś z amerykańskiej strony…

Złote spinki z Białym Domem

A jeszcze niedawno było wszystko jasne. Białoruś, jako bliski sąsiad i członek państwa związkowego z Rosją (wdzięcznie nazywanego w polskich mediach głównego nurtu abrewiaturą ZBiR, choć oficjalna nazwa skracana winna być jako ZPRiB) była traktowana niemal z takim samym obrzydzeniem jak Rosja. Unia Europejska w stosunku do Białorusi zajęła się przede wszystkim tym, co jej najlepiej wychodzi, czyli nakładaniem kolejnych pakietów sankcji. Sankcjami objętych jest 310 obywateli Białorusi, poczynając od Alaksandra Łukaszenki, podobnie jak 46 podmiotów, w tym „media propagandowe, przedsiębiorstwo radiowo-telewizyjne Biełteleradio, firmy czerpiące korzyści z białoruskiego reżimu i oferujące mu wsparcie, w tym w sektorze wojskowym, technologicznym i rolnym, firmy ułatwiające obchodzenie sankcji, hotele, przedsiębiorstwa transportowe, organizatorzy wycieczek wspierający nielegalne przekraczanie granicy z terenu Białorusi do UE, Sąd Najwyższy, państwowy Komitet Kontroli, Centralna Komisja Wyborcza, Dyrekcja ds. Zarządzania Mieniem Prezydenta" – jak głosi dokument UE. Poza dzielną Unią Europejską swoje sankcje nałożyły też USA. Najpierw w 2021 r., by zademonstrować niezadowolenie z nieładnego, ich zdaniem, wyboru na prezydenta Białorusi Alaksandra Łukaszenki. Potem nastąpił czerwiec 2025 r., kiedy do Mińska wpadł z wizytą specjalny wysłannik prezydenta Trumpa Keith Kellogg. Szło o wybadanie nastrojów, czy da się jakoś wykorzystać białoruskie kanały do zakończenia wojny na Ukrainie. Łukaszenka ze wzruszenia wypuścił 14 więźniów politycznych. Okazało się, że można.

Potem pojawiły się sygnały o wznowieniu pełnoprawnych relacji dyplomatycznych i ponownym otworzeniu ambasad w obu krajach. To zapowiedział kolejny wysłannik Trumpa John Cole, we wrześniu. Tym razem świat w kratkę przestało oglądać 52 więźniów politycznych, w tym 14 obywateli krajów zachodnich. W zamian prezydent Białorusi dostał złote spinki do mankietów z wizerunkiem Białego Domu.

Łukaszenka zaczął więc przebąkiwać coś o wznowieniu pełnoprawnych wzajemnych relacji, przy założeniu, że „Białoruś może pójść na określone kompromisy i jako pierwsza poczynić pewne kroki, oczekując od Amerykanów, że będą dotrzymywali obietnic" – jak oznajmił.

Wielki interes

W październiku białoruski prezydent oznajmił, że Białoruś jest gotowa na „wielki interes" ze Stanami Zjednoczonymi. W grudniu przyjechała na Białoruś amerykańska delegacja i Cole obiecał, że USA zdejmą sankcje z Biełaruskalij, czołowego producenta nawozów potasowych. Wyszło na wolność 123 więźniów na osobistą prośbę Trumpa.

Panowie pogadali o różnych sprawach, a Łukaszenka dawał sygnały, że jest gotów gadać w sprawach wojny na Ukrainie i o Bliskim Wschodzie, „co może być dla was interesujące, bo tam walczycie przeciwko naszym przyjaciołom", ale też dodał prędziutko, że rozmowy nie będą dotyczyły Chin i Rosji.

W marcu 2026 r. kolejna wizyta: 250 więźniów na wolności, w zamian zdjęte sankcje z białoruskiego Banku Inwestycyjnego, Banku Rozwoju, białoruskiego Ministerstwa Finansów i Biełaruskalij.

Europa chrząknęła z zakłopotaniem. Jakże to? Jeszcze niedawno polityczny gangster i dyktator, a teraz „szanowny prezydent Białorusi"? Tak się nie umawialiśmy. No rzeczywiście, wiele wskazuje na to, że Trump nie umawiał się w tej kwestii z Europą. I w ogóle jakoś stracił chęć umawiania się z Europą na cokolwiek. Może słabuje na głowę, a może uznał, że nie ma co się dogadywać z kimś, kto jest bratem w szaleństwie, ale właśnie dlatego niewartym wzmożonej uwagi.

Białoruś i jej media nie zaskoczyły. Wywaliły peany na cześć białoruskiego przywódcy, podkreślając wszystkie miłe słowa, które Amerykanie wypowiedzieli pod adresem Łukaszenki. Odbywały się ożywione dyskusje, czy USA słuchają Białorusi z uwagą, czy tylko z szacunkiem. Trochę przesadzam, ale naprawdę niedużo.

A teraz wyszło jeszcze gorzej: Białoruś wypuściła na wolność Andrzeja Poczobuta, co to od dawna był sztandarem, którym Polska wymachiwała, gdy trzeba było przywołać jakiś przykład o zamordystycznej polityce Łukaszenki wobec opozycjonistów.

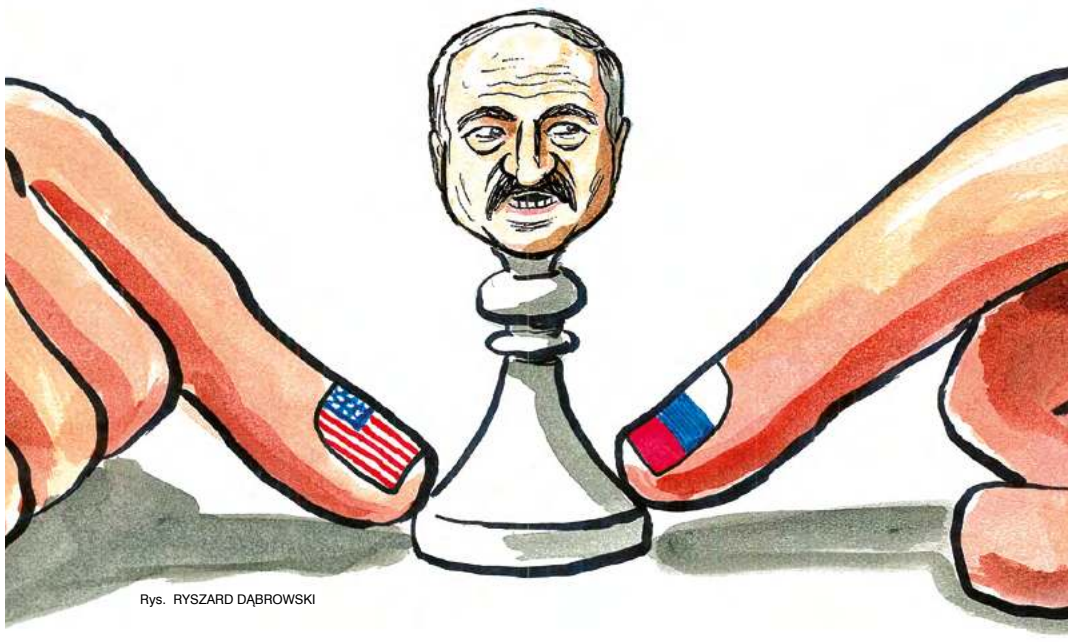

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

Co to się działo, co się działo… Na granicę polsko-białoruską pojechali Tusk, Sikorski i bodaj Kosiniak-Kamysz. Dawali na wyścigi głos, jak to Polska, a dokładniej oni osobiście, dołożyli starań, by Poczobut był wolny. I że to w zasadzie wyłącznie dzięki ciężkiej ich robocie Poczobut wrócił. Potem z pałacu prezydenckiego dobiegło, że to nieprawda, ponieważ to przecież Pan Prezydent Nawrocki własną ciepłą dłonią wskazał Trumpowi, że trzeba nacisnąć na Łukaszenkę, by uwolnić tego gościa. Potem coś bąkał Coale, że wymiana grupy osób na polsko-białoruskiej granicy to uzgodnienia między Mińskiem a Waszyngtonem. W każdym razie polskie władze otrzymały od miejscowych żab Honorowy Medal Podstawiacza Nogi do Podkucia.

A jeszcze potem prezydent Nawrocki uhonorował Poczobuta Orderem Orła Białego, co stało się kolejną odsłoną polsko-polskiego meczu na wzajemne obrzucanie się gównem. Nie wiem, kto wygrał.

Nasza wzniosła ignorancja

Pytanie, które należy sobie zadać, brzmi: czy Białoruś przejawiła własną inicjatywę i próbuje grać na kilku instrumentach, stając się tym samym, na miarę swoich możliwości, samodzielnym graczem na międzynarodowym polu – czy też jest tylko przekaźnikiem i pomagierem rosyjskiej polityki międzynarodowej w zmieniającym się świecie? Odpowiedź na to pytanie jest ważna. Oczywiście pod warunkiem, że chce się zrozumieć, co się dzieje. Bo na przykład Polska, w pętach swojej, pożal się Boże, polityki wschodniej – nie chce. Mało tego, nawet nie chce nic związanego z Białorusią wiedzieć. Bo nie.

Polska od lat pozycjonuje się jako nieprzejednany wróg panującego na Białorusi ustroju i władz. I jako główny macher wszelkich działań mających na celu tego ustroju obalenie, niespecjalnie nawet to ukrywając. Rozkosznie szczerze wyraził to swego czasu Sławomir Sierakowski – niegdyś dziennikarz, a teraz główny agitator na rzecz eskalacji działań militarnych.

Otóż w 2020 r., gdy Białoruś stała się obiektem kolejnej kolorowej kontrrewolucji, jednym z czołowych organów antyłukaszenkowskich był portal Nexta. Oczywiście w polskim przekazie: obiektywne, obywatelskie i absolutnie z nikim niezwiązane medium, które po prostu relacjonowało żywiołowy wybuch społecznego niezadowolenia Białorusinów. Założony przez dwóch białoruskich dziennikarzy, którzy kąpali się w sławie dzielnych obiektywnych obserwatorów na obczyźnie, bo w Polsce. Gdy jakiś czas później białoruskie władze zatrzymały i aresztowały jednego z nich, Romana Protasiewicza, Sierakowski napisał: „Nexta nie tylko relacjonował i demaskował działania władzy, ale podczas protestów, które zachwiały reżimem Łukaszenki, codziennie wysyłał do wszystkich obywateli dokładne informacje na temat godziny i miejsca, a także metod protestu. Informacje miały bardzo zaangażowaną formę i miały zmotywować jak największą liczbę Białorusinów do działania"… Tym samym Sierakowski dał białoruskiej prokuraturze do ręki mocny argument, by w akcie oskarżenia sformułować zarzut o organizowaniu protestów przy pomocy zewnętrznej. Taki mały społeczny donosik – ze świadomością, że oznacza to krok bliżej do kary śmierci, która, jak się wówczas wydawało, Protasiewiczowi groziła. Potem okazało się, że Protasiewicz dogadał się (albo był wcześniej dogadany) z władzami w Mińsku, ale wtedy tego nie wiedzieliśmy.

Co to będzie, co to będzie…

Łukaszenkowski reżim wielokrotnie, przedtem i potem, czynił wobec Polski gesty, by choć trochę obniżyć napięcie miedzy naszymi państwami – ale Polska za każdym razem gesty te olewała z pluskiem. I tak jest do dzisiaj.

Natomiast państwa poważne do tej nowej sytuacji podchodzą z uwagą. Zdają sobie bowiem sprawę, że droga do Pekinu – a także, gdy sytuacja się zmieni, do Moskwy – wiedzie przez Mińsk. I dobrze mieć wspomniany Mińsk za sobą albo obok, gdy wchodzi się na opluwany do tej pory teren.

Ważne w tej sytuacji jest też to, czy Łukaszenkę stać na wyrwanie się spod wpływów Moskwy i czy w ogóle ma na to chęć. Przypomina mi się coś, co w 2020 r., podczas trwania zamieszek na Białorusi, powiedział mi politolog z okołoputinowskich kręgów.

Moje pytanie brzmiało: czy Łukaszenka może przegrać i oddać Europie Białoruś? Ów rosyjski politolog popatrzył na mnie z politowaniem i odpowiedział: „Czy wyobrażasz sobie, że Rosja zgodzi się, by NATO zbudowało swoje bazy 100 kilometrów od Smoleńska?".

Istotnie, to byłby dość ryzykowny ruch. Obstawiam jednak, że białoruski lider nie ma zamiaru pogarszać w jakikolwiek sposób relacji z Putinem. Przeciwnie, wielokrotnie sygnalizował, że jakiekolwiek próby wciągnięcia go w tę grę są skazane na porażkę.

Zresztą w ostatnich dniach nagły wzrost poziomu straszenia Polaków przystąpieniem Białorusi do wojny z Ukrainą i opowieści o „zwiększaniu nacisku na wschodnia flankę NATO" świadczą o tym, że Ukraina i Polska z niepokojem patrzą na możliwość, iż USA zmienią kurs wobec Białorusi, by również z tej strony rozpocząć ocieplanie stosunków z Putinem. I trudno się polskim politykom dziwić. Bo co zrobią, gdy ambasador Rose zadzwoni, że od dzisiaj Białoruś jest bardzo fajna i nie byłoby wskazane, by jacyś tam Polacy rozbili jej wbrew? I co wtedy? Co zrobi wtedy minister spraw zagranicznych, redaktorzy wielkich mediów, wielcy publicyści, którzy od lat wieszali na Białorusi i jej szefie wszystkie okoliczne psy? Co wtedy z dyżurnymi białoruskimi opozycjonistami, mieszkającymi w Polsce i na zawołanie dającymi swe twarze i właściwe poglądy w polskich mediach?

Na razie przyglądają się z lękiem planowanemu spotkaniu Łukaszenka–Trump. Co to będzie, co to będzie? I tylko Polska zostanie jak ten Himilsbach z angielskim.

MACIEJ WIŚNIOWSKI

Niebieski paszport

Andrzej Poczobut w Polsce

Przed południem 28 kwietnia czarne vany mknęły na sygnałach przez Hajnówkę w kierunku Białowieży. Czy w jednym z nich siedział Donald Tusk z koordynatorem ds. służb specjalnych, dawnym jego osobistym kierowcą Tomaszem Siemoniakiem – nie wiadomo. Było tak czy nie było, godzinę później przewodniczący Koalicji Obywatelskiej witał przekazanego Polsce przez Baćkę Andrzeja Poczobuta, opozycjonistę i korespondenta „Gazety Wyborczej" na Białorusi.

Z Tuskiem witał go zastępca Michnika Bartosz Wieliński, co mogło wywoływać zdziwko u niezorientowanych. Ale to ten niezbyt oryginalny w swoich publikacjach publicysta, obsługujący na co dzień w mediach społecznościowych emocyjki w antypisowskim komentariacie, najmocniej lobbował w sprawie białoruskiego aktywisty. To on też wygłaszał laudację, kiedy „Press" kilka lat temu przyznał Poczobutowi tytuł Dziennikarza Roku.

Kiedy już się władza razem z Wielińskim wyściskała do łez z wyglądającym jak cień człowieka uwolnionym, kiedy wreszcie Wielińskiego zapakowano z nim do busa ABW, żeby drogą odwrotną z Białowieży przez Hajnówkę i prosto na Bielsk Podlaski wracać do Warszawy, było już jasne, że Poczobutowi nie było pilno do Polski.

Łukaszenka nie odebrał mu paszportu w niebieskich okładkach, Poczobut nie wyartykułował z miejsca prośby o azyl w Polsce, a na dokładkę sam Donald Tusk zadeklarował na zwołanej na szybko konferencji prasowej, że oczywiście dziennikarz „może liczyć na naszą pełną pomoc, niezależnie od decyzji, jaką podejmie".

Wieliński potem kilkakrotnie w różnych wypowiedziach sygnalizował, że Poczobut myśli o powrocie do ojczyzny, mimo że w Polsce obawiają się, że zaraz po comebacku na Białoruś wsadzą go natychmiast do łagru. Nie biorą przy tym pod uwagę te pięknoduchy prostego faktu, że

ten zniszczony przez permanentną walkę i areszty niemłody już przecież człowiek może mieć już tego wszystkiego dość.

Rys. WIDGET

I po tym, jak wróci do Grodna, zaraz ucieknie w prywatność, w podreperowanie zdrowia, a być może, jak mu to podreperowane zdrowie i prezydent Białorusi pozwolą, do spokojnej, poprzedniej akademickiej kariery jako prawnik z wykształcenia.

Bo i po co mu ten niebieski paszport, który – jak to opisywał zastępca Michnika – Poczobut ściskał mocno w dłoni? CIA i KGB (FSB), wymieniając się szpiegami w Białowieży, mogą cieszyć się z sukcesu. Polska licząc na to, że Swiatłanę Cichanouską zastąpi się wkrótce Andrzejem Poczobutem, a ten będzie jej kandydatem na prezydenta Białorusi na wygnaniu, może się rozczarować. I wtedy dopiero można będzie zacząć odbudowywać prawdziwą politykę wschodnią. Tusk wróci na molo w Sopocie z Putinem, a Sikorski postoi na balkoniku w MSZ-ecie z Ławrowem dogaszającym peta. A Łukaszenka przy okazji zwizytuje to, co zostało po naszych pegeerach.

JMP

eprasa.pl 1baae62809

GADMAN

Stąd do wolności

USA czy Chiny – oto jest pytanie

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Pierwszego maja zniknęły cła na eksport do Chin z 20 państw Afryki. Postrzeganych jako te najbogatsze. 33 uważane za słabiej rozwinięte otrzymały ten przywilej już w zeszłym roku. W czasie wojny celnej, którą prezydent Donald Trump wypowiedział reszcie świata. Wtedy, w sierpniu 2025 r., stawki celne nałożone przez USA na państwa afrykańskie wynosiły 30–40 proc. Teraz większość z nich podlega cłu wynoszącemu 10 proc., bo amerykański Sąd Najwyższy uchylił dekrety prezydenta Trumpa, uznał je za bezprawne.

Chiny są dziś największym partnerem handlowym Afryki, kontynentu liczącego 1,5 mld konsumentów. W 2025 r. chińsko-afrykańskie obroty handlowe osiągnęły rekordową wartość 348 mld dol. Wzrost nie był równomierny. Chiński eksport do gospodarek afrykańskich urósł o ok. 25 proc., zaś chiński import z Afryki wzrósł o 5 proc.

Taki stan wynika przede wszystkim ze stanu struktury handlujących gospodarek. Afryka nadal importuje z Chin coraz więcej towarów przemysłowych, zaspokajając potrzeby gospodarstw domowych, a eksportuje swe surowce. Dlatego największymi partnerami handlowymi Pekinu są: zasobna w ropę naftową Angola oraz Demokratyczna Republika Konga i Republika Południowej Afryki, skąd Chiny kupują rudy metali i inne minerały. Afrykańskich wiader i paneli słonecznych chińskie firmy handlowe nie kupują.

Gospodarka, głupcy!

Wedle opinii analityków skutki tych zerowych stawek celnych nie będą od razu odczuwalne. W dłuższej perspektywie czasowej mogą znacząco poprawić kondycję afrykańskich gospodarek. Jeśli pójdą „chińską drogą". Zwiększą produkcję przemysłową, zdywersyfikują eksport, zaczną sprzedawać swoje towary przetworzone. Dziś korzyści z chińskich stawek odnoszą takie państwa jak Maroko i RPA, które już mają potencjał eksportowy.

Oczywiste też jest, że decyzja o zniesieniu ceł ma też wymiar polityczny. Prezydent Xi Jinping dba, aby Chiny postrzegane były jako alternatywa amerykańskiego nowego protekcjonizmu. Chińska decyzja spodobała się nie tylko afrykańskiej opinii publicznej, także rynkom globalnym. Dziś mocarstwowe „komunistyczne" Chiny jawią się jako obrońcy wolnego, nieskrępowanego protekcjonistycznymi barierami handlu międzynarodowego. Depozytariuszem zasad liberalnej gospodarki i globalnego handlu.

Wszelkie znaki na niebie i ziemi wskazują, że nadchodzi nowa zimna wojna. Między USA a Chinami. Wojna globalna z udziałem sojuszników Waszyngtonu i Pekinu. Poprzednia trwała w latach 1947–1991. Była rywalizacją wojskową, polityczną, gospodarczą i ideologiczną pomiędzy dwoma blokami państw. Ten zwany zachodnim, demokratycznym, dowodzony był politycznie przez USA. Waszyngton wspierali zachodnioeuropejscy sojusznicy z NATO oraz pozaeuropejscy z paktów SEATO i CENTO. Drugi, zwany wschodnim, lub pogardliwie komunistycznym, dowodzony był przez ZSRR. Wspierali go wschodnioeuropejscy sojusznicy z Układu Warszawskiego i państwa pozaeuropejskie zawierające polityczne i wojskowe sojusze z Moskwą.

Chinizm w natarciu

Tamtej zimnej wojnie towarzyszyły wyścig zbrojeń, technologiczny wyścig podboju kosmosu i rywalizacja gospodarcza. Ta przekładała się na ciągły propagandowy plebiscyt. Stałe porównania poziomu życia w USA i zachodniej Europie z jakością życia obywateli w ZSRR i jego europejskich sojuszników. Oba bloki stale walczyły też o pokój, który na stałe zagościł w Europie i USA oraz militarnie na wojnach zastępczych toczonych w Azji, Afryce i Ameryce Południowej. Kosztem miejscowej ludności.

Wojna rozgrywała się też na froncie ideologicznym. Zachód promował i eksportował swą demokrację parlamentarną oraz wolnorynkową, liberalną gospodarkę. ZSRR promował ideologię radzieckiej wersji komunizmu. Rywalizujące z nim od lat 60. XX w. Chiny promowały swój maoizm. Wraz z nim promowano socjalistyczną gospodarkę nakazowo-rozdzielczą. Korzystną dla państw postkolonialnych, gospodarek kapitalizmu bez kapitału.

ZSRR przegrał tamtą zimną wojnę. Bo jego gospodarka nie udźwignęła wyścigu zbrojeń, podboju kosmosu i kosztów wojen zastępczych. To wpłynęło na przegraną w plebiscycie jakości życia obywateli.

Po rozpadzie ZSRR w 1991 r. dotychczasowi sojusznicy Moskwy z Europu Środkowo-Wschodniej przechrzcili się na wolnorynkową gospodarkę i przyjęli system demokracji parlamentarnej. Przeszli potem do NATO i Unii Europejskiej. Inaczej było w Rosji i azjatyckich republikach postradzieckich. Tam zapanował też wolnorynkowy kapitalizm, ale już oligarchiczny.

W Rosji zachodnia demokracja parlamentarno-gabinetowa się nie przyjęła. W republikach azjatyckich zatriumfowały systemy oligarchiczne z nieortodoksyjnie demokratycznymi parlamentami.

Jako zwycięskie z tamtej wojny wyszły Chiny. Bo poszły własną drogą. Powstała tam gospodarka łącząca wolny rynek z systemem państwowego centralnego i lokalnego planowania. Bazująca na tradycyjnej chińskiej merytokracji. Ten oryginalny system gospodarczy, inny od europejskich modeli kapitalizmu i komunizmu, profesor Grzegorz Kołodko celnie nazwał chinizmem. Dziś chiński model obserwują i czasem naśladują państwa azjatyckie, afrykańskie i południowoamerykańskie. Bo w ciągu ostatnich 30 lat chińska gospodarka była najefektywniejsza na świecie. Dzięki niej Chiny wróciły do roli globalnego gospodarczego mocarstwa.

Bezpieczeństwo ponad wszystko

W czasie poprzedniej zimnej wojny mieszkańcy ZSRR i państw z nim sprzymierzonych marzyli o emigracji do państw „demokratycznego" Zachodu. Wabieni sklepami pełnymi towarów, marzeniami o nielimitowanej konsumpcji i respektowanymi tam prawami człowieka. Poszanowaniem dla wolności.

Gdyby dziś doszło w Polsce do plebiscytu, z którym z rywalizujących właśnie mocarstw, z USA czy Chinami, państwo polskie i Polacy powinni współpracować, to wynik nie byłby tak jednoznaczny jak podczas tamtej zimnej wojny. Dziś oba konkurujące mocarstwa oferują konsumentom pełną ofertę towarów. Chiny nawet nadmiar.

Chiny nie uzależniają swej współpracy gospodarczej od przyjęcia ich ideologii. Chińskiego systemu praw człowieka, chińskich norm prawnych, modelu politycznego, religii, etyki konfucjańskiej.

Przeciwnie, już na wstępie zastrzegają, że będą szanować system polityczny, gospodarczy, etyczny partnera. Jego integralność terytorialną i politykę wewnętrzną. Jednocześnie oczekują wzajemności. Czyli poszanowania chińskiego systemu politycznego, gospodarczego, etycznego. Chińskiej integralności terytorialnej i polityki wewnętrznej. Dziś chińska współpraca międzynarodowa bazuje przede wszystkim na współpracy gospodarczej. Jest pragmatyczna i często transakcyjna. Jeśli strona chińska uznaje, że warto zawrzeć z kimś porozumienie, to je czyni. Zapominając nawet o aktualnych sporach czy rachunku historycznych krzywd.

Inaczej widzi współpracę międzynarodową obecny prezydent USA i jego administracja. Przede wszystkim gromko i publicznie zrywają oni z tradycyjnymi zasadami zachodniej demokracji i obroną praw człowieka. Zwijają i odrzucają właśnie sztandary, pod którymi „demokratyczny" Zachód walczył z „totalitarnym" ZSRR. Stale też szydzą z tradycyjnych europejskich wartości, o które walczyła kiedyś polska „demokratyczna opozycja", a potem ruch społeczny Solidarność. Prezydent Reagan akceptował robociarski strój Lecha Wałęsy, a ekipa prezydenta Trumpa upokorzyła ukraińskiego prezydenta jedynie za brak wypasionego garnituru.

Prezydent Trump i jego ekipa gromko propagują swe konserwatywne wartości i swoje wizje chrześcijaństwa. Stale krytykują przywódców innych państw za kultywowanie innych wartości i innego postrzegania religii. Jawnie, czasem demonstracyjnie, popierają w czasie demokratycznych wyborów bliskich ideowo, zaprzyjaźnionych kandydatów. Ingerując w wybory.

Wobec wrogich przywódców prezydent USA nie cofa się przed decyzjami o porwaniu ich i uwięzieniu w amerykańskich więzieniach. Nie cofa się przed decyzjami o zabiciu przywódców państwa uznanego za wrogie. Jednocześnie w gospodarczej współpracy międzynarodowej prowadzi woluntarystyczną, pragmatyczną politykę. Też transakcyjną, ale nierzadko z publicznym obrażaniem partnera. Wymuszaniem od niego hołdów wiernopoddańczych.

Polskie elity polityczne godzą się na trumpowski styl polityki, bo USA nadal jest gwarantem bezpieczeństwa dla Ukrainy i państw Europy Środkowo-Wschodniej. Bo trwa wojna na Ukrainie. Bo bezpieczeństwo polskiego państwa jest ponad demokratycznymi wartościami.

Czy wolność w wyborze międzynarodowych partnerów nastanie u nas dopiero po zakończeniu wojny rosyjsko-ukraińskiej?

PIOTR GADZINOWSKI

Trumpolandia

Niejaki Cole Tomas Allen, 31-letni nauczyciel z Torrance w Kalifornii, lekkim krokiem przebiegł obok agentów Secret Service strzegących wejścia do Hotelu Hilton, gdzie obywał się doroczny jubel dla korespondentów z Białego Domu, wpakował kulkę prosto w kamizelkę kuloodporną innego agenta, po czym potknął się o skrzynkę magnetometru, wywalił na ryj – i wtedy został ujęty. P.o. prokuratora generalnego Todd Blanche okrzyknął działania Secret Service „ogromnym sukcesem w dziedzinie bezpieczeństwa", ale po namyśle administracja Trumpa uznała, że sytuacja nie była jednak idealna. Albowiem atak w Hiltonie absolutnie wskazuje na konieczność wybudowania sali balowej przy Biały Dom. To jedna z trumpowych obsesji: jesienią znienacka, olewając wszelakie procedury, zburzył Wschodnie Skrzydło, aby stanęła tam absurdalna, monstrualna sala, zjebana przez wszystkich bez wyjątku architektów oceniających projekt. Konstrukcja ma kosztować 400 mln dolków, które mają ponoć wyłożyć prywatni sponsorzy. W zamian za co – nie wiadomo. Aktualnie prace są wstrzymane decyzją sądu, który stwierdził, że na taką budowę prezydent musi mieć zgodę Kongresu – ale Departament Sprawiedliwości już złożył wniosek o anulowanie tej decyzji, powołując się na incydent w Hiltonie.

Dwa dni po rzekomym zamachu Norah O'Donnell z programu „60 Minutes" telewizji CBS przeczytała prezydentowi USA fragment manifestu niedoszłego zabójcy. Allen pisze w nim – nie wymieniając nazwiska Trumpa – że nie chce dłużej czuć się splamiony przez „zbrodnie pedofila, gwałciciela i zdrajcy". „Czekałem, żebyś to przeczytała, bo wiedziałem, że to przeczytasz, bo jesteście okropnymi ludźmi. Okropnymi" – odparował prezydent. „O, myśli pan, że on to pisał o panu?" – zapytała bystrze dziennikarka, ale Donald nie dał się zbyć z tropu: „Nie jestem gwałcicielem. Nikogo nie zgwałciłem. Nie jestem pedofilem. Czytasz te bzdury napisane przez jakąś chorą osobę, która powiązała mnie z rzeczami, które nie mają ze mną nic wspólnego. Zostałem całkowicie uniewinniony". Nie sądzicie, że kiedy Przywódca Wolnego Świata słyszy słowo „gwałciciel" i jego odruchowa reakcja brzmi: „Zostałem całkowicie uniewinniony" – to jest moment, żeby przemyśleć cały geopolityczny porządek globu?

I jeszcze à propos niebezpiecznych skojarzeń: rok temu James Comey – upiornie patriotyczny i propaństwowy były dyrektor FBI wylany przez Trumpa z pracy za niedostatek lojalności – powiesił na Instagramie zdjęcie piasku na plaży. Na piasku z muszelek ułożone były cyfry 8647. „Fajna formacja muszli podczas mojego spaceru po plaży" – napisał Comey w komentarzu. 86 – to slangowe określenie wywodzące się z gastronomii lat 30. XX w.; oznaczało, że jakieś danie trzeba wykreślić z karty, bo się wyprzedało, albo że jakiegoś gościa trzeba wyrzucić z knajpy, bo rozrabia. W czasach prohibicji było używane, kiedy policjanci w układzie z mafią dzwonili do szefów knajp, żeby „86 klientów" – co oznaczało, że trzeba ich wyrzucić, bo będzie nalot. 47 kojarzy się popularnie z 47. (a także 45.) prezydentem USA, Donaldem Trumpem. Rok po publikacji fotki na Insta, prokuratura wystąpiła z aktem oskarżenia: „Oskarżony, JAMES BRIEN COMEY JR, świadomie i umyślnie groził odebraniem życia oraz spowodowaniem obrażeń ciała prezydenta Stanów Zjednoczonych poprzez publiczne opublikowanie na portalu społecznościowym Instagram zdjęcia przedstawiającego muszle ułożone w wzór tworzący napis »86 47«, co rozsądny odbiorca zaznajomiony z okolicznościami zinterpretowałby jako poważny wyraz zamiaru wyrządzenia krzywdy prezydentowi Stanów Zjednoczonych". Drugi zarzut stanowi, że Comey „świadomie i umyślnie przekazał w handlu międzystanowym i zagranicznym komunikat zawierający tę groźbę". Jak to dobrze, że w tych trudnych czasach polska prawica ma tak świetne relacje z naszym poważnym i odpowiedzialnym Wielkim Sojusznikiem.

Rys. MAURIZIO DI BONA

Zohran Mamdani wraz z Barackiem Obamą, w ramach promocji programu bezpłatnej opieki nad dziećmi, odwiedzili przedszkole w Bronxie, gdzie mer Nowego Jorku i były prezydent poczytali dzieciom książeczkę o wadze wspólnoty i zaśpiewali piosenkę o kołach autobusu. Najbardziej ujęły nas komentarze internautów. Zwłaszcza taki: „W końcu dwóch facetów w polityce, których można bez obawy dopuścić w pobliże dzieci".

AWŁ

eprasa.pl 1baae62809

Brukselska konferencja pokazała, kto jest przeciw ludobójstwu, a kto za

Selektywna moralność Europy

Globalny Kongres Parlamentarny Sumud naprawdę zgromadził polityków z wielu zakątków globu: byli członkowie parlamentów Brazylii, Senegalu i Malezji, dwoje posłów tureckich, były prezydent Tunezji, członek rządu Kolumbii, szefowa algierskiej partii trockistowskiej, działaczka na rzecz praw człowieka z RPA… Ale tak naprawdę było to spotkanie parlamentarzystów europejskich z działaczami palestyńskimi i wysokimi urzędnikami ONZ. Co wydaje się sensowne, bo to Europa ma w tej sprawie szczególnie nieczyste sumienie – i powinna wysłuchać, do czego przykłada rękę. (Poza nawiasem tej dyskusji pozostają oczywiście Stany Zjednoczone – ale przecież już chyba nikt, poza Karolem Nawrockim, nie ma wątpliwości, że USA to imperium zła).

Problem wydarzeń takich jak kwietniowa brukselska konferencja Sumud polega wszakże na tym, że biorą w niej udział ci dobrzy: politycy, którzy rozumieją ogrom tragedii, zbrodni i niemoralności działań Izraela wobec Palestyńczyków – jest to zatem trochę kazanie do chóru.

Listę otwierał – przynajmniej dla mnie – Jeremy Corbyn, który za swoją wierność sprawie palestyńskiej zapłacił dorobieniem mu gęby antysemity, klęską wyborczą Labour Party w roku 2019 i wreszcie wyrzuceniem z partii, do której należał przez 55 lat. Poza nim europejskich polityków reprezentowało sporo europosłów – ale z dwoma wyjątkami należeli oni do Grupy Lewicy wcześniej zwanej GUE/NGL, czyli frakcji lewackiej. O tym, że to lewacy są tą formacją polityczną i ideową, która przeciwstawia się izraelskim zbrodniom – i to nie od 7 października, ale tak naprawdę od Nakby, czyli masowego wysiedlenia Palestyńczyków przez Izrael w roku 1948 – wszyscy wiemy. Byłoby dobrze, gdyby także w innych środowiskach politycznych – chociażby tych, które nazywają się lewicą – taka postawa zaczęła się rozpowszechniać.

Boycott, Divestment and Sanctions

Jaka jest na to szansa? To chyba najważniejsze z pytań, jakie zadawali sobie uczestnicy konferencji.

Najbrutalniej postawiła je włoska prawniczka Francesca Albanese, od 2022 r. specjalna sprawozdawczyni ONZ ds. okupowanych terytoriów palestyńskich. Ta delikatna niewiasta o szpakowatych włosach i stalowej osobowości jest wrogiem publicznym nie tylko w Izraelu, ale także w USA: Marco Rubio osobiście nałożył na nią sankcje w odwecie za raport zatytułowany „Od ekonomii okupacji do ekonomii ludobójstwa" – który wymienia 48 firm, głównie amerykańskich, czerpiących zyski z izraelskich zbrodni. Sankcje na specjalnego sprawozdawcę ONZ – oznaczające zakaz wjazdu do USA, więc również do siedziby ONZ w Nowym Jorku, a także np. niemożność używania kart kredytowych – są wulgarnym złamaniem prawa międzynarodowego, w tym Konwencji z 1946 r. o przywilejach i immunitetach Organizacji Narodów Zjednoczonych. W imperium zła nikt się tym, niezaskakująco, nie przejmuje.

W Brukseli Albanese zadawała pytania o skuteczność tej formy oporu, jaką jest Flotylla, która nigdy nie dociera do Gazy. Przypomniała słynne zdjęcie studenta stojącego na wprost czołgów na Placu Tiananmen. – Nie możemy ryzykować tego, że będziemy tylko symbolem – przekonywała.

– Jest jasne, że kraje ONZ, firmy w tych krajach, mają obowiązek nie handlować i nie wspomagać państwa, które dopuszcza się ludobójstwa. Musimy przerwać ten współudział całego świata w izraelskich zbrodniach, wyegzekwować prawo, zatrzymać dostawy broni. Czas najwyższy wykorzystać wszystkie możliwości, które macie w swoich krajach, aby zakończyć ten współudział: w portach, w centrach dystrybucji, w łańcuchach dostaw – apelowała do obecnych na sali polityków i działaczy.

Albanese namawiała do wykorzystania doświadczeń BDS (Boycott, Divestment and Sanctions) – ruchu zmierzającego do bojkotu izraelskich towarów, wycofywania inwestycji i sankcji gospodarczych wobec Izraela.

– Chodzi o skuteczne i skoordynowane zaburzenie materialnej infrastruktury, która podtrzymuje ludobójczy system. To wymaga koordynacji i przywództwa. Nie da się zinstytucjonalizować rewolucji – mówiła Albanese, przeprosiwszy uprzednio, że będzie psuć imprezę.

Jestem przeciwko Palestine Action, popieram ludobójstwo

Albanese ma oczywiście rację. Z tym że politycy, którzy mają odwagę podejmować takie działania, są w mniejszości – i nieomal nigdy przy władzy. Jak ujął to Jeremy Corbyn: – Palestyna ma przyjaciół na ulicach, potężne, żywe wsparcie ludzi, wielkich demonstracji, ale nie ma wielu przyjaciół wśród rządzących.

Brytyjski lewicowy z nazwy rząd wykazuje niezwykłe wprost zaangażowanie we wspieranie izraelskiego genocydu. Gabinet Keira Starmera posunął się do wpisania ruchu obywatelskiego nieposłuszeństwa Palestine Action na listę organizacji terrorystycznych – co oznacza, że samo wyrażenie poparcia dla PA jest powodem do aresztowania. Teraz brytyjska policja zwija z ulicy tłumy staruszków z plakatami „Popieram Palestine Action, protestuję przeciwko ludobójstwu". (Szczególnego absurdu prawo to nabrało, kiedy psy ominęły kolesia z plakatem: „Jestem przeciwko Palestine Action, popieram ludobójstwo").

W zeszłym roku, po tym jak Izba Gmin odrzuciła wniosek Corbyna o przeprowadzenie dochodzenia w sprawie udziału Wielkiej Brytanii w izraelskich operacjach wojskowych przeciwko Palestyńczykom, zorganizował on niezależne wysłuchanie publiczne z udziałem lekarzy pracujących w Strefie Gazy, palestyńskich dziennikarzy, parlamentarzystów i działaczy społecznych, a także Franceski Albanese. Ustalenia – dokumentujące brytyjską współodpowiedzialność za izraelskie zbrodnie – były porażające, nawet jeśli niezaskakujące. Nie wpłynęły jednak w żaden sposób na brytyjski rząd.

Inne doświadczenia w tym zakresie mają Francuzi. Francuska europosłanka Rima Hassan mówiła o projekcie znanym jako „ustawa Yadan". Jego autorka – francuska posłanka żydowskiego pochodzenia Caroline Yadan, reprezentująca okręg zagraniczny obejmujący Izrael – chciała zrównać antysyjonizm z antysemityzmem, rozszerzyć zakaz pochwalania terroryzmu na „pochwały pośrednie", a także penalizować porównywanie polityki Izraela do polityki III Rzeszy jako „negowanie holokaustu". Po tym, jak pod petycją przeciwko projektowi podpisało się 700 tys. obywateli – został on wycofany. Presja zadziałała.

Acz nie w Brukseli. Europejska Inicjatywa Obywatelska w sprawie zawieszenia układu o stowarzyszeniu między UE a Izraelem zebrała milion podpisów w ciągu trzech miesięcy – co było rekordowym tempem w historii EIO – a mimo to ministrowie spraw zagranicznych Unii nie zgodzili się nawet na częściowe zawieszenie umowy, która w art. 2 mówi, że „istotny element niniejszego Układu" stanowi „poszanowanie praw człowieka i na zasadach demokracji, którymi Strony kierują się w swojej polityce wewnętrznej i zagranicznej".

Rosyjscy malarze groźniejsi od izraelskich buldożerów

Hipokryzja i podwójne standardy, panujące w UE, są szczególnie widoczne, kiedy porównamy to, jak owa „wspólnota wartości" odnosi się Izraela – a jak do Rosji. Mówił o tym m.in. belgijski europoseł Marc Botenga.

– Unia przyjęła właśnie 20. pakiet sankcji przeciwko Rosji, przedłużyła sankcje wymierzone w Iran, odebrała finansowanie weneckiemu Biennale w związku z planami wystawiania prac rosyjskich artystów – mówił Botenga. – Widać przyjmowanie artystów z Rosji jest gorsze niż używanie buldożerów do zrównywania z ziemią domów Palestyńczyków i bombardowanie kulturalnego dziedzictwa Iranu. Tak wygląda moralna postawa UE. Popełniać zbrodnie można tylko, jak się jest sojusznikiem Europy.

Z drugiej strony wszakże belgijski polityk zauważył, że we wrześniu zeszłego roku Ursula von der Leyen sama zaproponowała jakieś – szczątkowe, ale jednak – rozwiązania wymierzone w Izrael.

– Presja społeczna stała się nie do zniesienia. Z ich strachu rodzi się nasza nadzieja – zakończył Botenga przy huraganowych oklaskach. O podobnej strategii mówił Michael Fakhri, specjalny sprawozdawca ONZ ds. prawa do pożywienia: – Mamy narzędzia nacisku. Jeśli politycy zrozumieją, że wybory mogą przegrać lub wygrać w zależności od tego, co zrobili w sprawie Gazy, ich postawa się zmieni.

– Uwierzcie: przyjdzie taki moment w historii, kiedy wszyscy będą mówili, że zawsze byli przeciw ludobójstwu – mówiła Hazami Barmada,

amerykańska aktywistka Flotylli.

Też tak myślę. I myślę – choć w tej chwili trudno to sobie wyobrazić – że przyjdzie on szybciej, niż sądzimy.

Może więc, na wszelki wypadek, już teraz zacząć być przeciw?

Tak rzucam, pod rozwagę elitom politycznym RP.

AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA

Sumud znaczy wytrwałość

Izraelscy piraci kontra świadkowie zagłady

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Flotylla Sumud, która 30 kwietnia została napadnięta przez Izrael u wybrzeży Krety, to 37. – od 2007 r. – misja morska podjęta w celu przełamana blokady Gazy.

Jednostki flotylli zostały zaatakowane na wodach międzynarodowych, ponad 600 mil od Strefy Gazy. Zgodnie z Konwencją Narodów Zjednoczonych o prawie morza (UNCLOS) swoboda żeglugi na wodach międzynarodowych jest jedną z podstawowych zasad prawa międzynarodowego. Interwencja zbrojna wobec statków cywilnych poza wodami terytorialnymi danego państwa jest naruszeniem tej zasady – chyba że istnieją wyjątkowe okoliczności, które uzasadniają takie działanie. Próba dostarczenia pomocy humanitarnej głodującym mieszkańcom okupowanego kraju nie mieści się w tej definicji.

Armia izraelskiego okupanta nielegalnie przejęła 22 statki i łodzie i porwała 175 uczestników flotylli. 173 z nich zostało następnie zwolnionych; 36 w wyniku obrażeń poniesionych z rąk izraelskich żołnierzy trafiło do szpitala. W rękach piratów pozostali dwaj aktywiści: Palestyńczyk Saif Abu Keshek i Brazylijczyk Thiago Ávila. Od czwartku 30 kwietnia obydwaj prowadzą strajk głodowy. We wtorek sąd w Aszkelonie po raz drugi przedłużył ich areszt – tym razem o sześć dni, do 10 maja. Izraelska prokuratura twierdzi, że Abu Keshek i Ávila muszą pozostać w jej rękach, bo są podejrzewani o najcięższe zbrodnie: pomoc wrogowi w czasie wojny, kontakt z obcym agentem, członkostwo w organizacji uznanej za terrorystyczną, świadczenie usług i przekazywanie mienia takiej organizacji. Obrona argumentowała, że udzielanie pomocy ludności cywilnej za pośrednictwem misji humanitarnej nie jest działaniem w organizacji terrorystycznej, a także że aktywiści zatrzymani 1000 km od Gazy i niebędący obywatelami Izraela nie podlegają izraelskiemu prawu. Na izraelskim sądzie argumenty te oczywiście nie zrobiły wrażenia.

Saif to mój przyjaciel od ponad 20 lat, Thiago – towarzysz walki i z izraelskiej celi.

Saif ma hiszpański i szwedzki paszport, pochodzi z Nablus na Zachodnim Brzegu. Nie złamała go blokada Gazy, nie ugiął się przed żadnymi groźbami. Towarzyszyłem mu przez wiele lat i byłem świadkiem jego kamiennej determinacji. Razem planowaliśmy wiele akcji i uczestniczyliśmy w nich, a najważniejszą z nich była zeszłoroczna Flotylla. Wtedy Saif wspierał nas z lądu, toteż nie został porwany. Ja natomiast doświadczyłem tego na morzu.

Tam, na wodach międzynarodowych, poznaliśmy znaczenie współczesnego piractwa. Marynarka okupanta porwała 470 pokojowych aktywistów, wśród których znaleźliśmy się ja i Thiago – dołączając, choć tylko na chwilę, do pocztu tysięcy palestyńskich więźniów: Marwana Barghouthiego, doktora Hossama Abu Safiyi, Ahmada Sa'adata i innych, którzy od lat cierpią za kratami.

Thiago to nie tylko towarzysz drogi, to brat z celi. To już jego trzecia próba dotarcia do Gazy. Widziałem w nim rzadki przykład żywej międzynarodowej solidarności – człowieka, który odmawia milczenia wobec niesprawiedliwości, nawet jeśli kosztuje go to wolność raz za razem.

Razem zostaliśmy siłą uprowadzeni, potraktowani brutalnie i poniżająco – nie dlatego, że stanowiliśmy jakiekolwiek realne zagrożenie, ale dlatego, że odważyliśmy się rzucić wyzwanie blokadzie duszącej miliony ludzi. To zorganizowane piractwo i chuligańskie metody, niegodne państwa, które twierdzi, że szanuje prawo.

Ale historia nie kończy się na morzu.

Podczas gdy media skupiają swoje – słabe – światło na krótkotrwałym aresztowaniu aktywistów Flotylli Sumud, ludzie na całym świecie nie zdają sobie sprawy, że tysiące Palestyńczyków gniją w więzieniach okupanta od dziesięcioleci. Bez sprawiedliwych procesów, bez nadziei na wolność. To ponad 6000 palestyńskich więźniów – wśród nich dzieci, kobiety, ludzie chorzy. Wielu z nich jest osadzonych w izolatkach, poddawanych torturom i celowym zaniedbaniom medycznym, w warunkach urągających ludzkiej godności. Niektórzy spędzili za kratami ponad 30 lat. Większość nie wie, kiedy ich cierpienie się skończy.

Izraelskie więzienia takie jak Ramla, Negew, Ofer czy Aszkelon to nie tylko miejsca odosobnienia – to obozy koncentracyjne służące upokorzeniu Palestyńczyków i politycznemu szantażowi przy użyciu żywych i martwych.

Nie chodzi o „bezpieczeństwo" – jak twierdzą okupanci – lecz o podstępną i systematyczną kontrolę trwającą od dziesięcioleci. Administracyjne aresztowania bez postawienia zarzutów, niesprawiedliwe sądy wojskowe, dzieci sądzone na podstawie absurdalnych oskarżeń o posiadanie ostrej amunicji czy planowanie ataku na izraelskich żołnierzy.

Jedna nić łączy naszą historię z nimi wszystkimi. Saif, który wyrastał na palestyńskiej ziemi, Thiago, internacjonalista i bohater walki przeciwko okupacji, tysiące innych w więzieniach okupanta – wszyscy stawiamy czoła tej samej machinie. Machinie, która pozbawia Gazę wody, żywności i leków, zwala domy na głowy ich mieszkańców na Zachodnim Brzegu, chłoszcze więźniów w celach.

Ale nie będziemy czekać z założonymi rękami.

Każdego dnia, w którym więzień wytrwa; za każdym razem, gdy aktywista wypływa, by złamać blokadę – jest to przesłanie dla świata: ta zbrodnia nie pozostanie bez świadków. A świadkami są dziś nie tylko ofiary, ale każdy, kto odmawia milczenia wobec piractwa na morzach i naruszeń w więzieniach.

OMAR FARIS

eprasa.pl 1baae62809

Dziewczyna Nawrockiego

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Prezydent nie ma szczęścia do kobiet

Już w czasie kampanii wyborczej i w początkach kadencji kobiety w życiu Karola Nawrockiego były tematem kontrowersyjnym. Nie chodzi już nawet o wybór osobistej małżonki, choć i tu pojawiały się różne opinie, ale to jego życie prywatne i nikomu nic do tego. Gorzej jest w przypadku białogłów pojawiających się w życiu zawodowym prezydenta, począwszy od powijaków kariery w sopockim Grand Hotelu. Tam wątek kobiecy ma posmak nierządu, w związku z czym w pewnych kręgach przylgnął do niego odimienny pseudonim, niekoniecznie licujący z godnością prezydenta. Ks. Popiełuszko, zanim został świętym, zmienił to imię na Jerzego, wstydząc się nieprzystojnych konotacji.

Herod i baba

Ale Sopot i Grand Hotel pozostają w sferze gdybań, domysłów i chęci dokuczenia Nawrockiemu. Tymczasem on sam robi wiele, aby napytać sobie biedy z kobietami w roli głównej. 13 kwietnia ułaskawił Weronikę Krawczyk.

Historia prezydenckich ułaskawień jest bogata i często kompromitująca, a najnowsza głowa państwa postanowiła się wpisać do tej księgi złotymi zgłoskami. Weronika Krawczyk w mediach kościelnych jest prezentowana jako bohaterka i męczennica ruchu antyaborcyjnego. Postawiła się bowiem współczesnemu Herodowi w lekarskim kitlu, który chciał urządzić rzeź polskich niewiniątek, skrobiąc na potęgę. Pani Weronika sama odmówiła wykonania aborcji i odradzała korzystanie z usług dr. Piotra A. innym kobietom. Taka jest jej wersja. Odradzała zaś na tyle aktywnie i ofensywnie, że zdaniem sądu doszło do zniesławienia ginekologa.

„Wszystko zaczęło się dziewięć lat temu, gdy była w ciąży. Jak opowiada reporterowi »SE«, lekarz prowadzący skierował ją na badania prenatalne do specjalisty. To wtedy miała usłyszeć słowa, które do dziś śnią jej się po nocach. Po badaniu USG i zleceniu testu PAPP-A lekarz miał zaproponować aborcję. Gdy odmówiła, twierdzi, że miał rzucić do niej: »Po co ci down w domu«" – czytamy na stronie se.pl. Poszła z powrotem do lekarza prowadzącego, który wad płodu nie stwierdził. Urodziła zdrowego syna. I ruszyła na krucjatę przeciwko doktorowi A. – facebookową krucjatę. Na portalu społecznościowym popełniła pięć wpisów, które lekarz uznał za zniesławiające i wystąpił z prywatnym oskarżeniem. Pani Weronika nie wypierała się, że napisała, co napisała, a sąd uznał, że „stan faktyczny w tej sprawie był de facto bezsporny".

Łaska pańska

Jak ustalili dziennikarze „Rzeczpospolitej", jak zwykle było inaczej, niż to podają prawica i kler. W ocenie sądu Krawczyk w swoich zeznaniach popadała w sprzeczności, a ginekolog nie namawiał jej do aborcji, jedynie informował o prawnej możliwości jej przeprowadzenia. Żeby nie było: Piotr A. miał w 2008 r. wyrok za wykonywanie nielegalnych aborcji, ale nie został pozbawiony prawa wykonywania zawodu. Ponieważ przeciwniczka aborcji nie chciała go przeprosić za zniesławienie, groziło jej półtora miesiąca aresztu. Tak jak to było w przypadku idola prawicowców Adama Borowskiego w sporze z Giertychem: on też nie chciał wykonać wyroku sądu, za co grożą nieprzyjemności.

Weronika Krawczyk postąpiła w podobny sposób i w prawicowych mediach zrobiono z niej świętą Weronikę, która poszła sama na aborcyjne czołgi. I tutaj wchodzi cały na biało Karol Nawrocki z ułaskawieniem.

„Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej zastosował prawo łaski poprzez darowanie kary ograniczenia wolności, środka karnego w postaci podania wyroku do publicznej wiadomości oraz obowiązku przeproszenia osoby pokrzywdzonej i zatarcie skazania" – czytamy na stronie Kancelarii Prezydenta. Zadecydowały takie czynniki jak incydentalny charakter czynu, ustabilizowany tryb życia skazanej, sytuacja rodzinna i względy społeczne.

Listy piszą

Nawrocki ułaskawił, bo apelowali. Licznie. Pani Weronika stała się celebrytką w środowisku pro-life, następczynią Kai Godek, która zresztą intensywnie działała przy nagłośnieniu sprawy. Do prezydenta apelował choćby Ośrodek Monitorowania Antypolonizmu założony przez wzór patrioty Dariusza Mateckiego. Oświadczenia wydały tak egzotyczne twory jak Polskie Stowarzyszenie Obrońców Życia Człowieka czy Katolickie Stowarzyszenie Lekarzy Polskich. Każdy walczy o swój kawałek tortu w medialnej sprawie.

Zaangażowały się też podmioty kościelne. List do głowy państwa wystosowała Akcja Katolicka z podpisem jej kościelnego asystenta, bepe Marka Mendyka ze Świdnicy. „Akcja Katolicka w Polsce podkreśla, że wyrok sądu w sprawie Pani Weroniki prowadzi do ochrony interesu sprawcy licznych aborcji, a nie dobra, jakim jest życie od poczęcia. Zauważamy szybką egzekucję wyroku, a fakt, że Pani Weronika odrabia już obecnie zasądzone prace społeczne – jest obrazem szokującej niesprawiedliwości. Podobnie próba przymuszenia skazanej do przepraszania lekarza, który chciał dokonać aborcji na jej synu, budzi oburzenie. Lekarzowi, który dokonał wielu aborcji i proponował kolejne – nie należą się żadne przeprosiny. Fakt, że za brak przeprosin sąd zamierza wysłać młodą matkę do zakładu karnego, oceniamy jako głębokie zaprzeczenie wartości, na jakich opierać się ma życie społeczne w naszej Ojczyźnie" – czytamy w płomiennym piśmie.

Nie była to jedyna ekscelencja, która dała głos w tej sprawie. O łaskę boską i prezydencką prosił też bepe Ryszard Kasyna z Pelplina, którego diecezjanką jest Krawczyk. „Za słowa prawdy została skazana prawomocnym wyrokiem sądu na prace społeczne i zobowiązana do publicznego przeproszenia tego lekarza. Odmowa złożenia przeprosin grozi jej pozbawieniem wolności. Zwróciłem się z prośbą do Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej o ułaskawienie Pani Weroniki. Proszę was również o podpisanie petycji w tej sprawie, szczegóły znajdziecie na stronie naszej diecezji i parafii" – zamartwiał się biskup, a po akcie łaski z równym zapałem dziękował tym, którzy się modlili i działali. „Swoją postawą daliście świadectwo żywej wiary i pokazaliście, że wspólnota Kościoła potrafi stanąć w obronie tych, którym grozi niesprawiedliwość" – podniecał się sprawczością swoją i owieczek Kasyna.

Jasna Góra płodów

Mimo że sprawa jest dęta, to nawet po ułaskawieniu hierarchowie Kościoła kat. nie odpuścili, bo przecież rzadko trafia się tak głośna afera ze skrobanką w tle. Do fioletowego chóru dołączył abepe Tadeusz Wojda, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski, który miał okazję uzewnętrznić się w Częstochowie podczas trzeciomajowego odpustu w święto Najświętszej Maryi Panny Królowej Polski. Skojarzenia nasuwały mu się same: pani Weronika tak jak Maryja jest posłuszna Bogu. A kto inaczej czyni, ten wiadomo kto. – Dziękuję, że wolała iść do więzienia, ale nie sprzeciwić się woli bożej. To wielkie i piękne świadectwo, które nas wszystkich uczy, że miłość do dziecka powinna zawsze zwyciężać, że powinno się rodzić dzieci i żyć w zaufaniu do Boga, a wówczas wszystko będzie dobrze – mówił, jakby groził jej co najmniej łagier.

Dr Piotr A. widzi tę sprawę mniej metafizycznie. W wypowiedzi dla „Rzepy" stwierdził: – Pani K. znalazła sobie pomocników w postaci Fundacji Życie i Rodzina (fundacja Kai Godek – red.) – moim zdaniem jest to taka bojówka, która wyszukuje różne tematy, i ona stała się dla nich twarzą. Nagadali bzdur, mają swoich fanów i tak to wygląda.

No tak to wygląda. Na panią Weronikę czeka już być może miejsce na liście Konfederacji Brauna lub innej formacji, której leży na sercu życie poczęte oraz intratne miejsca w europarlamencie.

MATT KOBOSKO

Ostatni przystanek

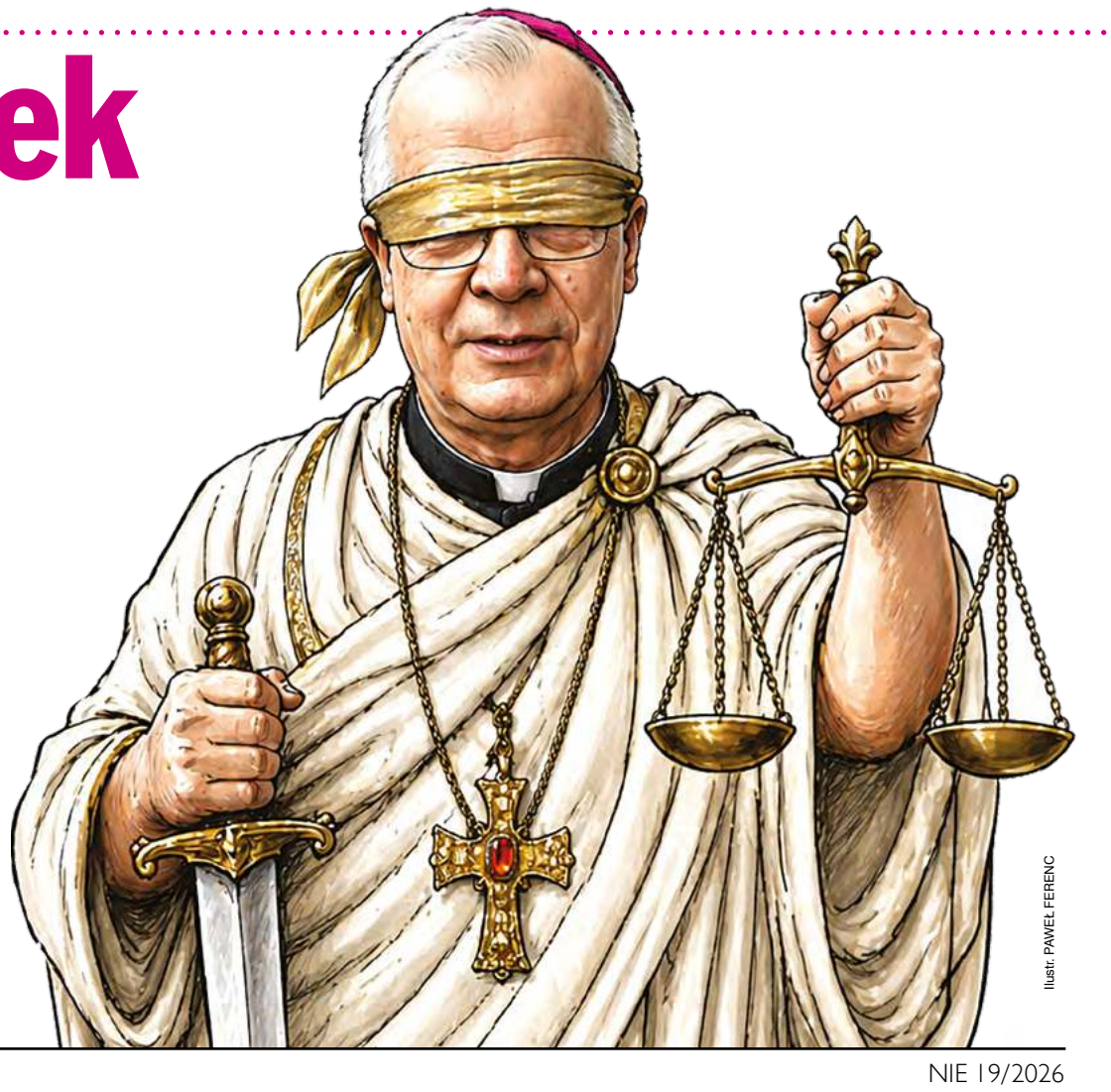

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Umarł Józef, co się psom nie kłaniał

O zmarłych tylko dobrze albo wcale. No dobrze. Zmarł abepe Józef Michalik, od dekady emeryt, ale wcześniej postać trzęsąca polskim Kościołem kat. Choć może trzęsąca to za dużo powiedziane – raczej trzęsąca się przed JP2, zabiegająca tylko o jego względy. Ów niegdysiejszy metropolita przemyski i przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski to jedna z ostatnich znaczących postaci z wojtyłowego zaciągu, czyli biernych, miernych, ale wiernych.

Dopiero co go wspominaliśmy na tych łamach przy okazji 25-lecia ujawnienia molestowania dziewczynek przez proboszcza z Tylawy („Ciumki wiecznie żywe", „NIE" 11/2026), a już przychodzi się żegnać. W sprawie ks. Michała M. abepe Michalik nie odegrał pozytywnej roli, podobnie jak (wówczas prokurator) Stanisław Piotrowicz. Michalik, choć wierzący, nie wierzył ofiarom swojego podwładnego, a występującą w ich imieniu Lucynę Krawiecką potraktował z buta. Styl miał wielkopański. Nieboszczyk karierę zaczynał w Watykanie, i to zanim wprowadził się tam nasz dużo bardziej znany rodak. Był rektorem Papieskiego Kolegium Polskiego w Rzymie, a więc sprowadzał rokujący narybek z Polski do centrali Kościoła kat. Jego chowu jest wielu dzisiejszych biskupów i wpływowych klechów, zatem duch Michalika przetrwał, choć jego samego nie stało. Widać tego ducha we wspomnieniach w portalach społecznościowych. Jak każdego znanego trupa, teraz to każdy go znał i zapamiętał jako człowieka ciepłego, skromnego i przyjaznego. Myślałby kto...

Inne zdanie miały ofiary proboszcza z Tylawy, a także pewien policjant z sekcji ruchu drogowego w Ustrzykach Dolnych. Był rok 2009. Sprawę jako pierwszy nagłośnił tygodnik „NIE" w tekście Anny Skibniewskiej „Mściwy książę Kościoła" („NIE", nr 31/2009). Czytamy w nim: „Policjant nadział się na szosie na przewodniczącego episkopatu Polski arcybiskupa Józefa Michalika. To gorsze, niż gdyby przejechał go samochód. Sierżant Paweł S. Harcerz. Kolekcjoner. Idealista. Były policjant. Obecnie aresztant. W sierpniu zeszłego roku Paweł S., policjant drogówki w Ustrzykach Dolnych, zatrzymał samochód. Kierował nim watykański ksiądz Stival Cianciarello. Jadąc na wycieczkę po Bieszczadach, nie zapalił świateł i przekroczył prędkość o przeszło 30 km/h. Sierżant postanowił wlepić mu

eprasa.pl 1baae62809

Po owocach ich poznacie

Pozamiatanie po poprzedniku zajęło nowemu papieżowi ledwie kilka miesięcy

Ilustr. PAWEŁ FERENC

Gdy 13 marca 2013 r. mianowany papieżem kardynał Bergoglio pojawił się na balkonie Bazyliki św. Piotra, świat zobaczył nie tyle głowę Kościoła, ile gotowy produkt medialny – słowa o ubogich, teatralne „dobry wieczór" i brak czerwonej pelerynki, który natychmiast ogłoszono symbolem rewolucji. Media oszalały z zachwytu, choć każdy, kto miał odrobinę pamięci, wiedział, że podobne ruchy wykonywali jego poprzednicy. Tyle że oni nie robili ideologii z tego, z czego Bergoglio zrobił. Problem w tym, że za tą ideologią nie poszły decyzje. Kuria, którą papież Franciszek miał „oczyścić", pozostała taka, jaka była. Watykańskie układy nie zniknęły, a „wojna z mafiami" skończyła się na słowach, które dobrze wyglądały w nagłówkach. Problem polegał na tym, że była to rewolucja wyłącznie w obszarze kostiumu. Franciszek zdjął mucet, założył czarne buty, zamienił apartamenty na Dom św. Marty i w ten sposób stworzył narrację, która przez lata miała zastępować rzeczywistość.

Nikt wam tyle nie obieca

12 lat później na tym samym balkonie stanął jako Leon XIV kardynał Prevost. I zrobił coś, co dla mediów było niemal prowokacją: założył tradycyjną czerwoną stułę. Nie próbował udawać, że papież to zwykły ksiądz. Nie starał się przekonać świata, że zmiana koloru butów jest wydarzeniem historycznym. Zamiast spektaklu był komunikat – instytucja trwa i nie zamierza się przebierać, żeby przypodobać się widowni. Prevost nie zaczął od spektaklu, ale od przeczytanego z kartki przemówienia, które nie było porywem chwili, tylko świadomie skonstruowanym komunikatem. I choć dla mediów było to mniej atrakcyjne niż spontaniczne bon moty Franciszka, to dla instytucji, którą kieruje papież, przekaz miał znaczenie fundamentalne. Kościół nie potrzebuje showmana, ale kogoś, kto wie, co mówi i dlaczego to mówi.

Bergoglio przez lata grał rolę papieża skromności. Rezygnacja z apartamentów apostolskich została sprzedana jako dowód pokory, choć w praktyce oznaczała przeniesienie się do przestronnego, chronionego kompleksu Domu św. Marty, gdzie do dyspozycji miał dwa duże pokoje i gabinet. W pałacu apostolskim dalej funkcjonowała cała administracja, a skromność była starannie zarządzonym wizerunkiem. Leon XIV nie robi z tego teatru. Korzysta z rezydencji papieskich, wraca do Castel Gandolfo, gdzie spędza wakacje, przywracając tradycję przerwaną przez poprzednika. Nie ogłasza tego jako przełomu, uznając, że papież nie musi udawać pielgrzyma z plecakiem, by być wiarygodnym.

Franciszek przez lata mówił o ubóstwie Kościoła, jednocześnie nie podejmując realnej reformy jego struktur. Liturgia była u niego uproszczona, często pozbawiona dawnego ceremoniału, co miało symbolizować bliskość z wiernymi. Leon XIV idzie w przeciwnym kierunku. Przywraca chorał gregoriański, nakazuje śpiewanie „Pater Noster" po łacinie, wraca do antyfon „Regina Coeli" i „Salve Regina" w tradycyjnej formie. Osobiście nakłada paliusze metropolitom, bierze udział w zaprzysiężeniu Gwardii Szwajcarskiej, przywracając jej ceremonialną rangę.

Franciszek w tym czasie prowadził „wojnę na słowa". Synody, które miały zmienić Kościół, kończyły się dokumentami pełnymi okrągłych pustych zdań. Homoseksualiści mieli być „dziećmi Boga", ale doktryna pozostawała niezmieniona. Rozwodnicy mieli wrócić do sakramentów, ale w praktyce dostali uproszczoną procedurę stwierdzania nieważności małżeństwa, która sprowadziła się do skrócenia procesu z trzech lat do kilku miesięcy. Kobiety były „fundamentem Kościoła", ale nie otrzymały żadnej nowej roli. Wszystko było obietnicą bez pokrycia.

Odlajkowanie

Prevost nie składa takich zapowiedzi. Jego stanowisko jest jasne i nie zmienia się w zależności od audytorium. Sprzeciw wobec aborcji, eutanazji, „ideologii gender" czy święceń kobiet nie jest opakowany w język „zrozumienia dla różnych wrażliwości" – jest komunikatem. Można się z nim nie zgadzać, ale przynajmniej wiadomo, na czym się stoi. I to jest zasadnicza różnica, bo Franciszek chciał być lubiany, a Leon XIV nie sprawia wrażenia, jakby go to specjalnie interesowało.

Prevost od początku wojnę rosyjsko-ukraińską nazywał „prawdziwą inwazją o charakterze imperialnym". Bergoglio przez lata lawirował między Moskwą a Kijowem, próbując mówić o pokoju tak, by nie wskazać agresora.

Jeszcze bardziej widoczne jest to w relacjach politycznych: konflikt z Trumpem nie jest medialnym epizodem, lecz konsekwencją wcześniejszych poglądów Prevosta, który jako kardynał krytykował politykę migracyjną administracji amerykańskiej. Franciszek w podobnych sytuacjach potrafił mówić jedno na konferencji prasowej, a drugie w rozmowach zamkniętych. Leon XIV nie prowadzi podwójnej gry – jeśli wchodzi w spór, robi to otwarcie.

Największa różnica dotyczy jednak władzy. Franciszek przez kilkanaście lat pontyfikatu nie zrobił z niej użytku. Kanon 331 daje papieżowi możliwość kształtowania całego Kościoła. Mógł wymienić episkopaty, przeprowadzić reformy, wymusić zmiany, lecz tego nie zrobił. Pozwolił, by Kościół w Niemczech, Polsce czy Ameryce Południowej funkcjonował według własnych zasad, nawet jeśli były one sprzeczne z papieskimi deklaracjami. W Polsce najlepszym przykładem była kariera abp Marka Jędraszewskiego, która wszak nijak nie pasowała do narracji o Kościele otwartym.

Jeśli ktoś chce ocenić pontyfikat Bergoglio po owocach, to liczby są bezlitosne: w Polsce odsetek deklarujących przynależność do Kościoła spadł z 88,8 proc. w 2011 r. do 71,3 proc. w 2021. Ponad 7 mln osób przestało się identyfikować z katolicyzmem. Globalnie mówi się o spadku liczby wiernych o dziesiątki milionów, choć Watykan broni się statystyką chrztów. Tyle że chrzest nie oznacza wiary, a jedynie wpis do rejestru. Spadek deklarowanej religijności, odpływ wiernych, rosnąca konkurencja ze strony protestantów – to nie są abstrakcyjne procesy. To konkret. Jeśli po 12 latach pontyfikatu jedynym sukcesem Bergoglio były dobrze prowadzone media społecznościowe i sympatia ateistów, to trudno mówić o czymkolwiek innym niż porażka. Wszak „po owocach ich poznacie" – a te owoce były nad wyraz skromne.

Bezimienni tyrani

Nieprzypadkowy był też wybór imienia, bo Leon XIV to deklaracja. Wszak Leon XIII był papieżem, który w czasach rewolucji przemysłowej uznał, że Kościół nie może udawać, iż robotnicy nie istnieją. Prevost uważa, że dziś odpowiednikiem tamtej rewolucji jest świat technologii, globalnych nierówności i sztucznej inteligencji. Ale o ile Leon XIII pisał encykliki, które zmieniały myślenie o pracy, o tyle Leon XIV podpisuje dokumenty, których znaczenie jest żadne. Jego pierwsza adhortacja „Dilexi te" została przyjęta z ledwie zaciekawieniem, ale trudno uznać, by wywołała wstrząs porównywalny z „Rerum novarum".

Znacznie więcej emocji wzbudziło to, co papież mówił w oficjalnych wystąpieniach. Kiedy stwierdził, że „garstka tyranów niszczy świat", mówił jak ktoś, kto wie, że wojny nie zaczynają się same. I że nie są wynikiem abstrakcyjnych procesów, tylko decyzji konkretnych ludzi. Problem w tym, że nie wskazał ich z nazwiska. A bez tego każda taka diagnoza pozostaje efektowna, ale bezpieczna.

Franciszek był papieżem, który doskonale sprzedawał się w mediach społecznościowych. Jego konta na platformach cyfrowych były traktowane jako dowód „otwarcia Kościoła". Leon XIV nie buduje swojej pozycji na Instagramie. Nie potrzebuje lajków, by funkcjonować.

Ostatecznie jednak różnica między nimi sprowadza się do rzeczy najprostszej. Franciszek mówił o zmianie i jej nie przeprowadził.

Leon XIV nie mówi o rewolucji, ale wprowadza konkret. Przywraca ceremoniał, porządkuje liturgię, zastępuje Jędraszewskiego Rysiem, jasno określa stanowiska i nie udaje, że można jednocześnie zadowolić wszystkich.

Wnioski z tego zestawienia są dla Bergoglio bezlitosne: jeśli papież przez 12 lat potrafi jedynie zmienić kolor butów, miejsce zamieszkania i ton wypowiedzi, a świat wokół niego się rozpada, to trudno uznać to za sukces. Jeśli zaś jego następca w ciągu roku pokazuje, że Kościół może działać bez udawania, to cała wcześniejsza „rewolucja" okazuje się jedynie robionym pod publiczkę spektaklem. I właśnie dlatego pontyfikat Prevosta może jeszcze przyprawić o ból głowy każdego, dla kogo katolicyzm powinien być czymś, o czym czyta się tylko w książkach historycznych.

TADEUSZ JASIŃSKI

200 zł mandatu i pouczył, że na bieszczadzkich serpentynach trzeba jechać ostrożnie.

Do rozmowy włączył się pasażer. Krzyczał na policjanta i machał rękoma. Wysiadł też z samochodu, zachowywał się agresywnie. Ty nie wiesz, kim ja jestem! – powtarzał wielokrotnie.

Ponieważ sierżant nieraz już słyszał takie teksty, nie zareagował, tylko polecił siwemu krzykaczowi wsiąść do auta. Wypisał mandat, życzył szerokiej drogi i pożegnał panów uprzejmie. Zapomniał o tym zdarzeniu jak o tysiącu innych kontrolach drogowych".

Paweł S. trafił do aresztu, a sprawa do parlamentu. Zapytanie do ówczesnego ministra sprawiedliwości Krzysztofa Kwiatkowskiego złożył poseł Tomasz Kamiński z Lewicy, który relacjonował drogą oficjalną, że przełożony sierżanta S. (J.Z.) wezwał i wypytywał go, „jakiego jest wyznania, dlaczego uderza w Kościół Katolicki i czemu zwracał się niegrzecznie do biskupa poprzez formę »proszę pana«, a nie »Wasza Ekscelencjo«. J.Z. zażądał też anulowania mandatu. W trzy tygodnie potem P.S. został przeniesiony z wydziału ruchu drogowego do plutonu patrolowego. Tymczasem S. wciąż głośno mówił o arcybiskupie i interwencji w tej sprawie komendy wojewódzkiej z Rzeszowa. Wtedy do akcji wkroczyło biuro spraw wewnętrznych komendy wojewódzkiej policji. Już niespełna miesiąc później P.S. został aresztowany. Tym razem otrzymał poważniejsze zarzuty. Nielegalne posiadanie broni, jej przetwarzanie i handel nią. Prokurator A.S. zarzuciła mu, nie podając żadnych istotnych przedmiotowo szczegółów, iż handlował bronią. W wyniku przeszukania domu sierżanta zabezpieczono dwa telefony komórkowe i nie znaleziono żadnej broni". Poseł dopytywał retorycznie, „czy przedstawicieli Kościoła Katolickiego obowiązują inne reguły prawne w przypadku, kiedy złamią prawo".

Nie rymuje się to zbytnio ze wspominkowymi laurkami dla zmarłego, opisywanego jako dusza człowiek, wspaniały kompan biesiad, a przy tym pokorny sługa boży. Choć trzeba przyznać, że wspomnienie Tomasza Terlikowskiego nieco rozbawiło. „U siebie, w Przemyślu, był uroczym gospodarzem, sympatycznym rozmówcą, człowiekiem, który pokazywał mi i naszej rodzinie urocze zakątki Podkarpacia i pięknie o nich opowiadał. I chyba nigdy nie zapomnę, jak obserwując, jak nasze dzieci biegają i robią masę hałasu wokół biskupiego stołu, zawołał kurialistów i oznajmił: »patrzcie i umacniajcie się w celibacie«" – pisze odsądzany dziś od czci i wiary przez dawnych kolegów redaktor. No i tyle o Michaliku znalazło się dobrego. Dobre i to. Bo o zmarłych trzeba dobrze…

ŁUKASZ PIOTROWICZ
lupiotrowicz@gmail.com

WIEŚCI Z KRUCHTY

✚ Do Sądu Rejonowego w Białymstoku trafił akt oskarżenia dotyczący księdza z jednej z podbiałostockiej parafii, któremu śledczy zarzucają m.in. złamanie zakazu prowadzenia wszelkich pojazdów mechanicznych. Sprawa wyszła na jaw, gdy klecha przyjechał zatankować furę i nie zapłacił za paliwo. O akcie oskarżenia pod koniec kwietnia poinformowała Prokuratura Rejonowa w Białymstoku, która prowadziła śledztwo w tej sprawie. Duchowny w połowie stycznia przyjechał na stację paliw w Choroszczy k. Białegostoku. Zrobił zakupy, za które zapłacił, ale odjechał, nie uregulowawszy należności za paliwo. Na podstawie monitoringu ustalono, kto był kierowcą. Okazało się, że to 40-letni ksiądz z orzeczonym przez sąd zakazem prowadzenia pojazdów oraz cofniętymi uprawnieniami do kierowania pojazdami kategorii B. Karany sądownie był dwukrotnie – za kierowanie autem w stanie nietrzeźwości i niezastosowanie się do zakazu kierowania pojazdami. Za świeże złamanie zakazu grozi mu pięć lat pierdla.

✚ Ksiądz Sławomir M., były proboszcz parafii w Dołhobrodach w gminie Hanna, usłyszał zarzut dotyczący wykorzystania seksualnego osoby małoletniej poniżej 15. roku życia. Sprawę prowadzi Prokuratura Rejonowa w Radzyniu Podlaskim pod nadzorem Prokuratury Okręgowej w Lublinie. Według ustaleń śledczych do zdarzeń miało dochodzić w latach 2007–2009, gdy klecha pełnił posługę w parafii w Polskowoli w powiecie radzyńskim. Podejrzany nie przyznał się do zarzuconego mu czynu i skorzystał z prawa do odmowy składania zeznań. Kiedy w sierpniu ubiegłego roku ksiądz nagle zniknął z parafii Trójcy Świętej w Sosnowicy, rzecznik prasowy diecezji siedleckiej ks. dr Paweł Bielecki twierdził, że proboszcz musi wyjaśnić swoje „osobiste sprawy".

✚ Archidiecezja łódzka ostrzega przed fałszywymi dokumentami chrztu i bierzmowania. Nieznani sprawcy wystawiają fikcyjne dokumenty takie jak „Świadectwo Rodzica Chrzestnego" oraz „Sakrament Bierzmowania", zaopatrzone w pieczęcie nieistniejących parafii pw. Matki Boskiej Saletyńskiej w Łodzi oraz Świętego Mikołaja w Warszawie. Imiona i nazwiska podpisanych na glejtach księży są również fałszywe. Kuria zastrzega, że tego typu dokumenty nie mają żadnej mocy prawnej i nie zostaną zaakceptowane w parafiach. Nie wiemy, ile kosztuje usługa, ale faktycznie szkoda kasy. Lepiej olać Kościół i wydać na piwo albo kebaba.

✚ Daniel „brudna pała" Obajtek poskarżył się na X, że Parlament Europejski odebrał mu immunitet, bo odważył się bronić uczuć religijnych i Jana Pawła II, kiedy zdecydował o wycofaniu jednego numeru tygodnika „NIE", gdy był prezesem Orlenu. „Warto podkreślić, że Orlen jako firma obsługująca miliony klientów musi brać pod uwagę ich wrażliwość. Zgodnie z art. 196 kk każdy, kto obraża uczucia religijne, podlega grzywnie, ograniczeniu lub pozbawieniu wolności. Ale w Polsce Tuska odpowiedzialność ponoszę ja, nie wydawca obrazoburczego tygodnika" – napisał Obajtek. Serdeczne Bóg zapłać za darmową reklamę.

KLECHA

Rys. MIROSŁAW HAJNOS

eprasa.pl 1baae62809

Jak nieboszczyk z woja zdezerterował

Nietypowe wspomnienie Marszałka w stulecie zamachu majowego

Co przedstawia ostatnie zdjęcie Józefa Piłsudskiego z 21 marca 1935 r.? Czy utrwalony jest tu moment aresztowania Marszałka, podejrzanego o zabójstwo generała Zagórskiego, przez trzech tajniaków w policyjnych melonikach? W żadnym razie! „Tajniak" pierwszy z prawej to minister komunikacji Michał Butkiewicz, który na Dworcu Wileńskim, zwanym wcześniej Petersburskim, wita schorowanego i wylęknionego naczelnika państwa polskiego powracającego z Wilna.

Fot. INTERNET

Tymi samymi schodami, także po powrocie z Wilna, 6 czerwca 1927 r. do belwederskiej limuzyny Cadillac nr 24 rześkim krokiem schodził generał Włodzimierz Zagórski. Potem nikt go już nigdzie nie widział; zniknął tak doskonale, że nie wiadomo nawet, gdzie się, biedaczysko, pochował.

Kiedy dobrze zaostrzonym ołówkiem Koh-I-Noor uwięziony w wileńskim Wojskowym Więzieniu Śledczym nr III Zagórski kreślił portrety wszystkich tych gnojków i szubrawców, z którymi zetknął się na swojej drodze w czasach burzliwych, i gdy na papierze listowym cotton rozprawiał się ze swoimi wrogami – uwięziony generał odczuwał prawdziwą rozkosz, bo zdawał sobie sprawę, że słowem pisanym sieka wszystkich wrogów boleśniej, niż gdyby w pojedynku ciął ich ostrzem szabli. Z 10 oficerskich pojedynków „na śmierć i życie" aresztant gnijący w wileńskich lochach wyszedł bez szwanku, ale pojedynek na słowa z marszałkiem Piłsudskim przypłacił życiem.

Kłopotliwy generał

Piłsudski miał co najmniej trzy powody, żeby usunąć Zagórskiego z tego świata. Powód bardzo ludzki – panowie, obaj tak bardzo zasłużeni dla historii wojska polskiego, osobiście się nienawidzili. Zagórski, generał po dwu solidnych akademiach wojskowych, porozumiewający się w sześciu językach, traktował marszałka pogardliwie, jak cywilnego uzurpatora bez znajomości rzemiosła wojennego.

Drugi powód do unicestwienia Zagórskiego był taki, iż jako kapitan austriackiego wywiadu wojskowego w Wydziale IV Sztabu Generalnego posiadł on kompromitującą wiedzę o zaangażowaniu Piłsudskiego w pracę agenturalną – najpierw dla wywiadu japońskiego, a później w szpiegowanie Rosji na użytek wojsk cesarsko-królewskich. Możliwe nawet, że Zagórski zachował pokwitowania wypłaconych sum. Nie udało się ich jednak odnaleźć podczas bezprawnej rewizji w jego mieszkaniu. Te kwity generał Zagórski całkiem słusznie traktował jak polisę ubezpieczeniową na własne życie.

I wreszcie powód trzeci: Zagórski był świadkiem osobistej klęski Piłsudskiego, kiedy to naczelnik Rzeczypospolitej na dwa dni przed Bitwą Warszawską, przekonany o niechybnym całkowitym zwycięstwie bolszewików, złożył wszystkie swoje urzędy na ręce premiera Wincentego Witosa i wyjechał na leże letnie do swojej kochanki. O słynnym zwycięstwie wojsk polskich rozstrzygnął korzystny zbieg okoliczności i rozkaz „ataku znad Wieprza" podpisany przez generała Rozwadowskiego bez kontrasygnaty głównodowodzącego Piłsudskiego, który w decydującej fazie Bitwy nad Wisłą po prostu był nieobecny. Ku zdumieniu tak polskich, jak i sowieckich dowódców atak powiódł się, w następstwie czego Sowieci musieli odtrąbić sromotny odwrót spod Warszawy. Na wieść o polskim zwycięstwie, Piłsudski szybko powrócił do armii i już 16 sierpnia dołączył do pościgu za umykającym wrogiem.

Jedno tylko było polskie zwycięstwo nad Rosją Sowiecką, więc polskich triumfatorów nie mogło być dwóch! Z poręki Naczelnika Państwa nadzwyczaj dla Rzeczypospolitej zasłużony generał Tadeusz Rozwadowski, rzeczywisty zwycięzca w Bitwie Warszawskiej, pod fałszywymi zarzutami trafił do więzienia po raz pierwszy. Zwolniony przez sąd z powodu bezzasadności oskarżenia, po przewrocie majowym – kiedy Piłsudski całkowicie zapanował nad sądownictwem i w ogóle nad biegiem spraw państwowych – generał Rozwadowski trafił do więzienia po raz drugi i już z niego nie wyszedł. Najprawdopodobniej – jak przypuszcza wielu historyków – został otruty, lecz przecież mogło być i tak, że schorowany zmarł całkiem zwyczajnie z powodu niedostatecznej opieki medycznej. W każdym razie – wraz ze śmiercią gen. Rozwadowskiego zniknęły wszelkie przeszkody na drodze do „przebóstwienia" Józefa Piłsudskiego już nie tylko jako wskrzesiciela Niepodległej Polski w roku 1918 i zbawcy Polski i Europy w roku 1920, lecz również Ojca Narodu i sprawcy sanacji, czyli dobrej zmiany.

Z Zagórskim było gorzej, bo nawet jego śmierć nie gwarantowała utrzymania w tajemnicy agenturalnej przeszłości Józefa Piłsudskiego – nikt nie wiedział, gdzie generał ukrył kompromitujące Marszałka dokumenty i jakie wydał dyspozycje na okoliczność własnej nagłej śmierci. Z Zagórskim odpowiednio podgrillowanym przez 15-miesięczne odosobnienie w wileńskim więzieniu, gdzie był traktowany gorzej od więźniów niższych szarżą, należało zatem podjąć sekretne pertraktacje.

Co było dalej?

Ilustr. KRZYSZTOF OLEJNIK

Tajemnica Messalki

Wersja oficjalna: jak zeznał w śledztwie towarzyszący Zagórskiemu kpt. Miładowski, obydwaj oficerowie wsiedli do limuzyny przysłanej po generała z Belwederu. Jednak – powiadomiony o wcześniejszym wyjeździe Piłsudskiego na uroczystości rocznicowe wymarszu Pierwszej Kompanii Kadrowej (Zagórski zdezerterował dokładnie w dniu rocznicowym, przypadającym na 6 sierpnia!) – Miładowski zdecydował się odwieźć generała do warszawskiego domu jego siostry.

Według wersji podanej w śledztwie przez Miładowskiego generał Zagórski kazał po drodze zatrzymać samochód przed łaźnią Pod Messalką na Nowym Świecie, gdyż czuł się brudny. Wszedł do łaźni i wszelki ślad po nim zaginął.

Och, zapomnieliśmy o drobnym szczególe. Generał miał ze sobą walizeczkę. Miładowski twierdził, że oddał ją do dworcowej przechowalni. Wszyscy w Polsce wiedzieli, że w więzieniu Zagórski skracał sobie czas odosobnienia spisywaniem wspomnień. Rękopis znajdował się w walizeczce.

Wytrawny dochodzeniowiec prokuratury wojskowej major Daniec ustalił, że żadna walizeczka do przechowalni nie była oddana. Natomiast posterunkowy, który miał służbę patrolową przed Dworcem Wileńskim, zeznał, że w chwilę po odjeździe wielkiej limuzyny belwederskiej zajechała druga, nieco mniejsza, ze znakami Belwederu lub Zamku Królewskiego, do której oficer z dystynkcjami porucznika wrzucił walizeczkę i zasiadł obok szofera. Auto odjechało w stronę mostu Kierbedzia.

To teraz wersja alternatywna.

Imaginujmy sobie, że Cadillac nr 24 zgodnie z planem dowiózł generała do Belwederu, gdzie miał zameldować się u Piłsudskiego. I że zgodnie z planem Piłsudski nigdzie przedwcześnie nie odjechał, lecz przyjął Zagórskiego w swoim gabinecie. Imaginujmy też sobie, że marszałek złożył propozycję nie do odrzucenia, a jednak generał wzgardliwie ją odtrącił. Znany z wybuchów wściekłości gospodarz potraktował gościa mocnym słowem, a ten ze swej strony nie pozostał dłużny gospodarzowi. Zagórski to był chojrak, który wyszedł cało z 10 oficerskich pojedynków „na śmierć i życie"! Łatwy do pokonania i do przekonania nie był. Od słowa do słowa negocjacje dwu dżentelmenów zamieniły się w ordynarną pyskówkę.

Może, słysząc odgłosy awantury, adiutant Marszałka wpadł do gabinetu i fałszywie ocenił sytuację – uznał, że życie Marszałka jest zagrożone – toteż generała zastrzelił? Może strzał padł nieumyślnie, w szamotaninie? Wprawdzie strzał taki byłby słyszalny także w garażach, pomieszczeniach służby cywilnej i nawet na wartowni – tymczasem nikt ze służby o wystrzale nie wspominał, a przesłuchani byli wszyscy – ale była to jednak wersja łatwiejsza do obrony niż kuriozalna historia o dezercji via Messalka.

Gdyby generał Zagórski poniósł śmierć na skutek postrzelenia niesłyszalnego dla służby pałacowej, czy to podczas próby „ucieczki", czy to w razie „napaści" na Marszałka, nie byłoby potrzeby budowania piramidy kłamstw i fałszowania dokumentów. Wystarczyłoby proste mataczenie na wzór i podobieństwo sprawców „samobójstwa świętej pamięci Barbary Blidy", które wydarzyło się kilkadziesiąt lat później.

Wersja o dezercji wymagała antydatowania – czyli sfałszowania – nakazu sądu wojskowego o natychmiastowym zwolnieniu generała Zagórskiego z więzienia śledczego w Wilnie. Wszak tylko wolny człowiek może oddalić się w niewiadomym kierunku i nigdy już nie pokazać się nikomu na oczy. Gdyby kapitan Miładowski na rozkaz pułkownika Prystora konwojował więźnia z Wilna do Warszawy, byłby odpowiedzialny za niewykonanie rozkazu doprowadzenia aresztanta przed oblicze Marszałka. Dla dobra sprawy Miładowski dał się więc przekonać, że nie konwojował więźnia, lecz tylko towarzyszył generałowi w podróży!

Zaprzecza temu wszakże fakt niepodważalny, potwierdzony stemplem pocztowym: naczelnik Wojskowego Więzienia Śledczego nr III w Wilnie sądowy nakaz zwolnienia aresztanta Włodzimierza Zagórskiego otrzymał dwa dni po dezercji generała, w poniedziałek 8 sierpnia, co znalazło potwierdzenie w rejestrze pism przychodzących. Dokument sądowy nosił datę sobotnią 6 września 1927 r. Gdyby kapitan Miładowski jechał koleją do Wilna po to, żeby jedynie honorowo asystować uwolnionemu generałowi w drodze do Belwederu, gdzie Zagórski w pełni praw obywatelskich miał się zameldować u Marszałka, dokument sądowy powinien nosić datę najpóźniej 4 sierpnia; sanacyjne pociągi były wprawdzie punktualne, ale powolne.

Krępująca nieobecność zwłok

Dlaczego w takim razie w Belwederze oficerskie otoczenie marszałka Piłsudskiego, złożone wyłącznie z ludzi fanatycznie miłujących swojego dowódcę, nie próbowało sprokurować prostego raportu o przypadkowym postrzale czy wręcz samobójstwie, wybrało zaś pokrętny wariant o dezercji, który wymagał zbudowania piramidy kłamstw łatwych do wychwycenia przez średnio inteligentnych dochodzeniowców?

Albowiem zarówno wersja o samobójstwie, jak też wariant o incydentalnym postrzeleniu przez adiutanturę na skutek działania podjętego w obronie zagrożonego życia Józefa Piłsudskiego, bezwzględnie wymagały pozostawania denata na miejscu zbrodni. A tymczasem – cóż za fatalna okoliczność! – aresztant nawiał i nikt do dziś nie wie, dokąd przemieściło się jego ciało.

Jeżeli jednak poczynimy teoretyczne założenie, że na zwłokach nie było śladu jednego postrzału, lecz ciągnąca się od szyi do pasa potężna rana cięta, zadana ostrym narzędziem – ciało generała musiało natychmiast zdezerterować z Belwederu, ponieważ w takim przypadku ze straszliwą oczywistością podejrzenie o spowodowanie śmierci Włodzimierza Zagórskiego spadało na ułańską szablę Marszałka z grawerunkiem „Bóg-Honor-Ojczyzna". Podobnie wyglądałyby sprawy, gdyby w ciało generała Zagórskiego ktoś wpakował siedem kul, czyli cały magazynek wojskowego Browninga wyposażonego w tłumik.

Józef Piłsudski, co starannie ukrywano przed opinią publiczną, u schyłku życia popadał w szaleństwo i nachodziły go lęki paranoidalne. Ustawicznie podejrzewał swoje najbliższe otoczenie o spiskowanie i dybanie na jego życie.

Wszystkim gościom Marszałka w oczy rzucała się szabla wisząca na rapciach przybitych do ściany. Z kolei premier Sławoj Składkowski, człowiek o złotym sercu i lekko osłabionym umyśle, wspominał, że podczas rozmowy z Marszałkiem nie mógł skupić się na ważnych sprawach państwowych, ponieważ myśl ciągle ulatywała mu w kierunku Browninga, ułożonego poręcznie na blacie biurka…

Marszałek nie planował zabójstwa, to oczywiste, ale przebieg negocjacji był tak niepomyślny, a generał zachowywał się tak prowokacyjnie, że prześladowany przez lęki paranoidalne Piłsudski nie wytrzymał ciśnienia chwili, w ataku furii chwycił rękojeść szabli… A może z użyciem tłumika wpakował siedem kul w pierś znienawidzonego generała.

Zbroczone krwią ciało generała Zagórskiego pośpiesznie wrzucono na tylne siedzenie limuzyny Cadillac nr 24, która, nie wiadomo jak, zniknęła z garażu w Belwederze na całe sześć dni. Pozostawione w panicznym pośpiechu ślady krwi na tapicerce były trudne do usunięcia, a suszenie auta po dokładnym myciu musiało potrwać…

Wkrótce po dezercji generała Zagórskiego kierowca limuzyny nr 24, szeregowiec Cymel, stał się właścicielem niewielkiej restauracji. Długo się nią nie nacieszył. Pewnego dnia przyszli do knajpki czterej goście lekko już zawiani, wywołali karczemną awanturę, która skończyła się strzelaniną. Belwederski szofer zginął od przypadkowej kuli. Sprawcy zajścia czmychnęli, zanim przybyła policja.

Większość historyków zgadza się z tezą, że Marszałek zamordował generała per procura. Jako historyk języka polskiego mam prawo uznać, że zbrodni dokonał raczej własnoręcznie.

JAKUB KOPEĆ

eprasa.pl 1baae62809

Wyścig z promieniowaniem

40 lat temu doszło do katastrofy w Czarnobylskiej Elektrowni Jądrowej. Dobrze pamiętam tamten dzień i gdzie wówczas byłem.

Ilustr. PAWEŁ FERENC

26 kwietnia 1986 r. szykowałem się do obsługi kolarskiego wyścigu Gran Premio della Liberazione, cyklicznego kryterium ulicznego rozgrywanego w Rzymie od 1946 r. w każdą rocznicę wyzwolenia stolicy Włoch spod niemieckiej okupacji. W tamtych czasach był to wyścig dla amatorów, bo istniał dość sztuczny podział na zawodowców i amatorów, którzy tak naprawdę amatorami byli tylko z nazwy, bo ściganie się na rowerze było ich jedynym zajęciem, ale w dokumentach w rubryce „zawód" mieli wpisane coś innego. Nie chcę przez to powiedzieć, że wyścigi amatorów były gorsze albo mniej ciekawe. Po prostu były trochę inne.

Wyścig Gran Premio della Liberazione, na którym jako dziennikarz sportowy byłem już któryś raz z rzędu, rozgrywany jest do dziś ulicami Rzymu, wokół Term Karakalli. Sceneria bajeczna – zabytkowe ulice, zawsze słoneczna pogoda (nie pamiętam, by kiedykolwiek niebo się chmurzyło), a włoskie słońce sprawia, że wszystko staje się bardziej kolorowe.

Organizatorem wyścigu i jego dyrektorem był nieżyjący już mój przyjaciel i cudowny człowiek Eugenio Bomboni. Redakcja za złotówki kupowała mi tylko samolotowy bilet powrotny do Rzymu, a później przechodziłem na dewizowe utrzymanie Eugenia i jego firmy. Sprawiało to, że podczas trwania imprezy czułem się, jakbym znalazł się w komunizmie, choć moja socjalistyczna ojczyzna, czyli PRL, znajdowała się dopiero na drodze do budowy tego ustroju.

Amerykańska ucieczka

Czy można się dziwić, że tego ranka, 26 kwietnia 1986 r., wyszedłem przed hotel, w którym zakwaterowani byli dziennikarze i większość ekip, w znakomitym humorze? Ale już w hotelowym holu panowało jakieś poruszenie. Zauważyłem, że ekipa USA w wielkim pośpiechu ładuje rowery na dach samochodu technicznego. Dokąd oni tak gnają? – zdziwiłem się w duchu. – Przecież do startu mamy jeszcze ładnych parę godzin.

Rozmowa z dziennikarzami z zachodnich mediów szybko wyjaśniła, że w ZSRR w elektrowni jądrowej w Czarnobylu doszło do eksplozji, są ofiary śmiertelne, a radioaktywna chmura zmierza nad Europę. Oczywiście szczegółów ani skali katastrofy nikt nie znał, agencja TASS w zagranicznym serwisie wydała tylko króciutki komunikat, że w elektrowni jądrowej „coś" się wydarzyło, natomiast w licznych krajach, zwłaszcza skandynawskich i w Finlandii, zanotowano podniesienie stanu radioaktywności i ogłoszono alarm.

Okazało się, że amerykańscy kolarze pędzą na lotnisko, by pierwszym możliwym lotem wrócić do kraju. Nic dziwnego. Każdy zastanawiał się, jak ratować się przed nieznanym zagrożeniem. Włoskie radio podało, że skutecznym remedium może być płyn Lugola chroniący tarczycę przed radioaktywnym jodem. Wszyscy lokatorzy hotelu w takim samym pośpiechu, w jakim amerykańska ekipa pakowała swoje bagaże do wozów technicznych, ruszyli do najbliższych aptek. Popędziłem i ja, po to – jak się okazało – żeby dowiedzieć się, że płyn Lugola został wykupiony we wszystkich rzymskich aptekach, być może jakiś zapas mógł znajdować się tylko w Watykanie. Szkoda, bo myślałem, że tym płynem ucieszę żonę, zwłaszcza że mieliśmy w domu małą córeczkę.

Wyścig odbył się normalnie, ruiny Term Karakalli stały na swoim miejscu, jak stały od wieków, wygrał – o ile pamiętam – jakiś holenderski kolarz, a ja musiałem myśleć o powrocie.

Czarnobylskie procedury

Gdy przyleciałem do Warszawy i rozdałem prezenty, zacząłem przepraszać, że nie udało mi się w Rzymie zdobyć magicznego płynu Lugola. Żona ze śmiechem powiedziała, że zarówno nasza córeczka Ewa, jak i wszystkie polskie dzieci dostały swoją dawkę zbawczego medykamentu. Kamień spadł mi z serca, ale nie do końca. 6 maja zaczynał się kolarski Wyścig Pokoju, na który jak co roku zostałem wydelegowany, i jak raz zaczynał się w Kijowie. Nawet bez GPS, którego jeszcze nie było, wiedziałem, że to zaledwie 130 km od Czarnobyla. Jak by nie patrzeć, trochę bliżej niż Warszawa czy też Rzym, gdzie widziałem objawy paniki. Ciarki przeszły mi po plecach.

Przez moment łudziłem się, że wyścig zostanie odwołany, ale nic z tych rzeczy. Lecieć do tego Kijowa czy odmówić wyjazdu? Zdawałem sobie sprawę, że w tej skomplikowanej sytuacji politycznej odmowa wiązałaby się z jakimiś konsekwencjami służbowymi. Byłbym gotowy je ponieść. W końcu postanowiłem jednak, że jeśli polecą nasi kolarze, ja też polecę.

Wcale niełatwo kolarze i ich kapitan Ryszard Szurkowski dali się namówić na udział w Wyścigu Pokoju. Prezes PZKol Zbigniew Rusin krążył między hotelem, w którym byli zakwaterowani, a władzami partyjno-politycznymi niczym wytrawny negocjator. Sytuacja była napięta, a rozmowy niejawne. Z tego, co wiem zza kulis, przeważył argument, że jeśli reprezentacja nie poleci do Kijowa, uda się tam drużyna Legii. Legia była wojskowym klubem, wszyscy jej kolarze oficjalnie zajmowali wojskowe posady i jako tacy nie mogliby odmówić wykonania rozkazu.

Dziś o katastrofie w Czarnobylu wiemy znacznie więcej, choć całej prawdy nie poznamy chyba nigdy. Nawet liczba ofiar śmiertelnych jest niejasna. Naukowcy z ONZ szacują ją na 124 osoby, które bezpośrednio zmarły podczas katastrofy lub tuż po niej. Ile osób zachorowało na skutek przyjęcia zbyt dużej dawki promieniowania – trudno oszacować.

Znana jest przyczyna katastrofy, którą było przeprowadzanie eksperymentu obniżania mocy jednego z bloków o 50 proc. Pracownicy poinformowani zostali o procedurach. W międzyczasie doszło jednak do awarii jednej z konwencjonalnych elektrowni i eksperyment przerwano. Wznowiono go, gdy konwencjonalna elektrownia zaczęła działać, ale w nowej sytuacji procedury okazały się tragiczne w skutkach.

Suchoj zakon odwołany

Niezwykle dramatyczna była akcja ratunkowa. Pierwszych jednostek straży pożarnej przybyłych na miejsce wybuchu nawet nie poinformowano, że gasić będą reaktor i nie wydano im odpowiedniego zabezpieczenia. Wielu z tych strażaków zmarło na chorobę popromienną.

Potężne śmigłowce wznosiły betonowy sarkofag, który przykrył miejsce awarii, a ich piloci to kolejni tragiczni bohaterowie tamtych wydarzeń. Sarkofag chroni miejsce awarii do dziś, choć nie tak dawno dowiedzieliśmy się, że rosyjski dron trafił w niego i go uszkodził. To wszystko budzi grozę.

Tuż po wybuchu byliśmy tego wszystkiego nieświadomi, choć i tak wiedzieliśmy dużo więcej niż mieszkańcy Kijowa. Polska była jedynym demoludem, jak nazywano kraje obozu socjalistycznego, w którym poinformowano mieszkańców o czarnobylskich wydarzeniach i podano mieszkańcom płyn Lugola. W Kijowie oczywiście rozchodziły się jakieś plotki. Jedna z nich głosiła, że alkohol ma być skutecznym lekarstwem, w związku z czym odwołany ma zostać *suchoj zakon* – częściowa, ale surowa prohibicja, wprowadzona przez Michaiła Gorbaczowa rok wcześniej. Przepisy te zresztą wywołały wśród mieszkańców ZSRR oburzenie i wymieniane są wśród przyczyn upadku mocarstwa.

Szeptana wieść o tym, że teraz będzie się można legalnie napić, wywołała radość. Już w drodze taksówką do hotelu opowiadał mi o tym kierowca, uśmiechając się i prezentując przy okazji imponujące złote zęby. Wypytywał mnie o to, co nam powiedzieli o katastrofie, a gdy mu opowiadałem, co jakiś czas rzucał: „A to swołocze, nam nic nie mówili"…

Zamieszkaliśmy w wielkim i nowoczesnym jak na tamte czasy hotelu, w którym barek był oczywiście nieczynny, ale zabraliśmy ze sobą z domu spore zapasy ludowego medykamentu na chorobę popromienną. Wziąłem półlitrówkę i zszedłem do holu. Spotkałem tam zastępcę redaktora naczelnego „Prawdy" z Moskwy, a więc faktycznie wysokiego prominenta, którego kiedyś poznałem. Gdy zaproponowałem mu, żebyśmy sobie w holu dali po kielichu, po długich namowach się zgodził, ale niemal wszedł pod stolik i trwożnie rozglądał się dookoła, nim wziął łyk żytniówki. Takie to były dziwne z dzisiejszej perspektywy czasy.

Okazało się, że nie tylko mieszkańców Kijowa nie poinformowano o katastrofie, ale 1 maja odbył się tam tradycyjny pochód z udziałem dzieci, radośnie maszerujących z czerwonymi chustami zawiązanymi na szyjach. Nic nadzwyczajnego się nie dzieje, towarzysze!

Dopiero Wyścig Pokoju stał się pretekstem do poinformowania mieszkańców Kijowa o tragedii w niedalekim Czarnobylu, ale jednocześnie zapewnienia, że nie stało się nic groźnego, skoro 6 maja rusza wielka międzynarodowa impreza sportowa.

Niegroźna dawka

Że międzynarodowa – to prawda. Na start zapędzono ekipy z krajów socjalistycznych, w tym z Mongolii i Kuby. Jedyną zachodnią drużyną była Francja, i to w niepełnym składzie. Rządowi Francji z jakiegoś powodu (już nie pamiętam z jakiego) zależało na dobrych stosunkach z ZSRR, miał także swoje atomowe plany. Czy trójkolorowych kolarzy przekupiono, czy zmuszono – nikt się tym nie chwalił, w każdym razie po pierwszym etapie zniknęli z peletonu. Zostało dziewięć ekip, trudno więc było mówić o wielkiej imprezie, a maleńki peleton wyglądał jak ucieczka podczas innych wyścigów.

Polscy kolarze nie błyszczeli. Na pretensje trenera odpowiadali, że starają się jak najmniej oddychać, żeby do płuc wpadało jak najmniej pyłu. Uprzedźmy fakty: żaden z zawodników nie rozchorował się po imprezie i jeszcze przez wiele lat odnosili wspaniałe sukcesy, bo kolarzy mieliśmy wówczas znakomitych. Zwłaszcza gdy oddychali pełną piersią.

Jak zachowywaliśmy się my, polscy dziennikarze, w Kijowie? Różnie. Ja należałem do dość licznej grupy, która doszła do wniosku, że skoro już tu jesteśmy, trzeba zachowywać się, jak gdyby nic się nie działo. Nie mogłem zmarnować okazji i zwiedzałem to piękne miasto. Podziwiałem przepiękny widok na Dniepr i oczywiście odwiedziłem Ławrę Peczerską, stary klasztor słynący z rozlicznych cudów, i jego fascynujące groźne podziemia. Gdy słyszę w telewizji o rosyjskich rakietach i dronach uderzających w ukraińską stolicę, ogarnia mnie bezradna wściekłość.

Wieczorem zbieraliśmy się w jednym pokoju i leczyliśmy przyjęte dawki promieni żytniówką, bo liczyliśmy, iż będzie to miało lepszy skutek niż cuda z XI-wiecznej prawosławnej świątyni.

Janusz Żwan ze „Sztandaru Młodych" i jeszcze jeden kolega przyjęli zupełnie inną taktykę. Zamknęli się w hotelowym pokoju ze skrzynką butelkowanej wody mineralnej oraz wałówką przywiezioną z Polski i postanowili nie opuszczać go aż do wyjazdu. Sprawozdania do swoich gazet nadawali na podstawie telewizyjnej relacji, którą oglądali na miejscu. Maciek Biega ze „Sportowca" napisał na kartce po polsku i po rosyjsku „Ławra Peczerska, nie przeszkadzać mnichom!" i powiesił ją na drzwiach ich pokoju.

Andrzej Łozowski z „Rzeczpospolitej" był jedynym polskim dziennikarzem, który odmówił wyjazdu do Kijowa. Nie spotkały go za to nawet najmniejsze nieprzyjemności.

Niby nic się nie stało, ale po powrocie do kraju niepokój w sercu jakiś był. Zapakowałem do worka wszystkie ubrania, w których byłem w Kijowie, i moim Maluchem zawiozłem do instytutu badań jądrowych w Świerku pod Warszawą. Poprosiłem o zbadanie tych rzeczy i określenie, jaką dawkę radioaktywnych promieni przyjął mój organizm. Początkowo chciano mnie zbyć, twierdząc, że co dostałem, to dostałem, i od szczegółowej wiedzy nie będzie mi lepiej, ale w końcu dali się namówić.

Wetknęli licznik do worka, licznik trzeszczał, a im mocniej trzeszczał, tym bardziej ogarniał mnie strach. Na wielu sprawach się nie znam, ale na mierzeniu promieniowania najmniej. Diagnoza: aparatura wskazała, że byłem w Kijowie, ale dawka jest niegroźna dla organizmu. Buty i skarpetki radzili jednak wyrzucić, bo najwięcej radioaktywnego pyłu zbierało się na chodnikach. Opuściłem Świerk zadowolony, z ulgą na sercu, mimo że żal trochę było moich nowych sportowych butów, którymi nie tak dawno imponowałem radzieckim dziewczynom spoglądającym na nie z podziwem.

Jakoś we względnym zdrowiu udało mi się przeżyć do dziś, dopóki nie dopadła mnie polineuropatia nóg, bardzo utrudniająca poruszanie się. Czy może być ona opóźnionym skutkiem napromieniowania podczas etapów Wyścigu Pokoju rozgrywanych w Kijowie? Raczej nie. Lekarze, którym wierzę, wyjaśniają, że jest ona skutkiem cukrzycy, a cukrzyca efektem złego trybu życia i nieodpowiedniego wyżywienia.

Czytelnicy, dbajcie o siebie! Poruszanie się z chodzikiem to żadna przyjemność.

WOJCIECH MITTELSTAEDT
wojciech.mittelstaedt@interia.pl

SATYRYCZNY TYGODNIK POLITYCZNY
Jerzy Urban – honorowy redaktor naczelny
Agnieszka Wołk-Łaniewska – redaktor naczelny
Edyta Baker – sekretarz redakcji
Krzysztof Olejnik, Paweł Ferenc – grafika, DTP
Katarzyna Szajowska – korekta
Autorzy:
Przemysław Ćwikliński, Idalia Dubicka, Piotr Gadzinowski, Robert Jaruga, Tadeusz Jasiński, Marta Miecińska, Wojciech Mittelstaedt, Łukasz Piotrowicz, Marek Sanowski, Maciej Wiśniowski

Oraz profesorowie:
Jan Hartman, Joanna Senyszyn, Andrzej Werblan

WYDAWCA: „URMA" Sp. z o.o.

ADRES redakcji i wydawcy:
00-680 Warszawa, ul. Poznańska 3 lok. 9,
tel.: 22 848 84 48, 22 848 44 20, 22 848 96 68;
tel./fax 22 849 72 47 i 22 849 72 58

DZIAŁ HANDLOWY: 22 849 59 38

INTERNET
www.tygodniknie.pl – także prenumerata internetowa
E-MAIL: NIE@redakcja.nie.com.pl

Materiałów niezamówionych (tekstów, zdjęć, dokumentów) redakcja nie zwraca.
Zastrzegamy sobie prawo skracania i adiustacji tekstów oraz listów. Tytuły i śródtytuły wszystkich zamieszczanych tekstów pochodzą od redakcji.
Za treść ogłoszeń reklamowych redakcja nie odpowiada.

DRUK:
Drukarnia Prasowa S.A., Łódź,
e-mail: sekretariat@dpsa.com.pl

Sprzedaż elektroniczna:
www.eGazety.pl, www.e-kiosk.pl, www.eprasa.pl, www.nexto.pl

Numer zamknięto:
str. 1–16 – 6.05.2026 r.

„NIE" w komórce
Papier się gniecie. Telefon nie.

eprasa.pl 1baae62809

SŁÓWKA PÓŁGŁÓWKA

Lista 10 postaci historycznych i fikcyjnych, które doskonale by uzupełniły skład powołanej przez prezydenta Karola Nawrockiego Rady Nowej Konstytucji:

Ramsay Bolton – grany przez Iwana Rheona niegodziwiec z serialu „Gra o tron". Zasłynął nowatorsko okrutnym podejściem do tortur. W skali amoralności od zera do stu – sto.

Alex Forrest – główna bohaterka filmu „Fatalne zauroczenie" w reżyserii Adriana Lyne'a. Czy jesteś kobietą, czy mężczyzną, nie chciał(a)byś jej spotkać w słabo oświetlonej ulicy. Chyba że nazywasz się Nawrocki albo przynajmniej Bogucki…

Mónica del Carmen Madariaga Gutiérrez – ministra edukacji publicznej, a także sprawiedliwości w gabinecie Augusta Pinocheta. Po obaleniu dyktatury mistrzowsko udawała, że nic nie wiedziała o zbrodniach i łotrostwach władzy dyktatorskiej. Tak mistrzowsko, że po powrocie demokracji została rektorką Uniwersytetu Andrésa Bello.

Heliogabal – rzymski cesarz panujący w latach 208–222. Miał podobny stosunek do sprawiedliwości i seksu – obie dziedziny uważał za zbyt konserwatywne i wymagające natychmiastowej reformy. Brutalnej jak sam Lucyfer czy inny Neron.

Nikołaj Jeżow – rosyjsko-litewski polityk radziecki żyjący w latach 1875–1940. Marszałek bezpieki, ludowy komisarz spraw wewnętrznych. Twórca jeżowszczyzny – na swój sposób unikalnej metody walki z wrogami ludu. Uważany za twórcę nieśmiertelnej prawdy: Niech żyją więźniowie! Z nieżywych nie ma żadnego pożytku.

Wiluś E. Kojot – bohater kreskówki w cyklu „Zwariowane melodie", antagonista Strusia Pędziwiatra. Niezłomny jak Marek Jurek, rozumny jak Ryszard Legutko. Pip-pip!

Lex Luthor – filmowy i komiksowy śmiertelny wróg Supermana. Mądry jak Ryszard Legutko, twardy jak Marek Jurek. I raczej niepodobny do Ozzy'ego Osbourne'a podobnego do Barbary Piwnik.

Marie-Jeanne Nouganga – jedna z 17 żon władcy absolutnego Cesarstwa Środkowoafrykańskiego Jeana-Bédela Bokassy (1921–1996). Miała pojęcie o prawie konstytucyjnym mniej więcej takie, jakie ma Paweł Kukiz.

Mildred Ratched – pielęgniarka z „Lotu nad kukułczym gniazdem", powieści Kena Keseya i filmu Miloša Formana. Sprawiedliwa jak Przyłębska, prawa jak Romanowski, będąca jednak dowodem na to, że każda kosa trafi wreszcie na swego Nicholsona. Jacka Nicholsona.

Werres – żyjący w latach 115–43 p.n.e. rzymski namiestnik Sycylii. Był wynalazcą nowoczesnych wówczas metod rekwizycji zboża i kradzieży dzieł sztuki, a wymiar sprawiedliwości traktował gorzej niż cesarz Kaligula i lepiej niż minister Ziobro.

PRZEMYSŁAW ĆWIKLIŃSKI

Dialogi dam, z których obie żyją

Korzystając z dobrodziejstwa podwójnego numeru, rozjechały się po świecie: **AGNIESZKA WOŁK-ŁANIEWSKA** była w Brukseli i Londynie, a **JOANNA SENYSZYN** we Włoszech i w Łodzi.

Senyszyn: – I to były te nietypowe Włochy…

Wołk-Łaniewska: – A które Włochy są typowe?

– Jak Polacy słyszą „Włochy", myślą Rzym, Watykan, Neapol, ewentualnie Toskania. A ja byłam od drugiej strony, nad Adriatykiem.

– Ja tam w ogóle nic nie myślę, dwa razy w życiu byłam we Włoszech, oba dzięki mojej ukochanej siostrze z wyboru: raz na Sycylii, a raz na nartach. Wiem, że „narty" to nie region, ale wyznam szczerze, że nie pamiętam gdzie… A ty pamiętasz?

– Nie pamiętam, bo od początku wiedziałam tylko, że mamy wylądować w Ankonie, skąd wynajętym autem zabrali nas przyjaciele, którzy całą wyprawę zorganizowali. To moi kochani sąsiedzi zza płotu: Magda i Adam. Mieliśmy piękny apartament nad samym morzem, z wielkim tarasem i jacuzzi. A najważniejsze, że wbrew prognozom były słońce i pogoda, pyszne jedzenie i *dolce far niente*. Nawet się opaliłam.

– Ja też. Na solarium poszłam na Rydygiera.

– Wolę moją metodę. A zaraz po powrocie pojechałam do Łodzi na spotkanie ze zwycięzcą tegorocznej aukcji WOŚP. Nie wiem, czy pamiętasz, że śniadanie ze mną zostało wylicytowane za ponad 6 tys. zł. Odbyło się w cudownej Rodzinnej Caffe&Bistro w słynnym łódzkim Kapeluszu Pana Anatola na Paderewskiego. Piękne miejsce, pyszne jedzenie, uroczy ludzie. Serdecznie polecam.

– A z kim to śniadanie jadłaś?

– Z Dobrym Przedszkolem.

– Słucham?

– Tak się nazywa: Dobre Przedszkole, działa w Bydgoszczy, w Toruniu i Grudziądzu. Na spotkanie ze mną przybyła czteroosobowa delegacja…

– Bez przedszkolaków, mam nadzieję.

– Bez, sami dorośli. Przemili, inteligentni, dowcipni, jakbym miała jakieś dzieci do dyspozycji, na pewno bym im powierzyła. Było wspaniale. Co tam przy tym twoja Bruksela…

– Ja wiem, że ty w Brukseli pomieszkiwałaś przez pięć lat, to dla ciebie żadna atrakcja. Dla mnie na pewno większa, bo byłam zaledwie kilka razy. A do tego urwałam się kolektywowi i pojechałam do Brugii, w której nie byłam nigdy wcześniej i która jest naprawdę piękna. Brendan Gleeson miał absolutną rację, że zabrał tam Colina Farrella w ostatnią podróż…

– Niebanalne skojarzenie. Rozwiń dla jasności.

– „Najpierw strzelaj, potem zwiedzaj". To cudowny film, który po angielsku nazywa się po prostu „In Bruges" i opowiada o brugijskiej wycieczce dwóch płatnych irlandzkich morderców, z których starszy ma zastrzelić młodszego, bo młodszy miał zabić księdza, a przez pomyłkę zastrzelił bachora, co się u księdza spowiadał…

– Zawiłe.

– Owszem, trzeba zobaczyć, żeby zrozumieć. Polecam. W każdym razie tam właśnie pokazują Brugię i jest ona tak zjawiskowa, że koniecznie chciałam ją zobaczyć… Zjadłam mule, przepłynęłam łódką po kanałach, kupiłam magnes na lodówkę, i mam zaliczone.

– Tak ci się tylko wydaje. Większość ludzi pielgrzymuje do Brugii, i to od ponad 800 lat, żeby w Bazylice Świętej Krwi zobaczyć najcenniejszą relikwię chrześcijaństwa, za którą jest uznawana rzekoma krew Chrystusa w kryształowej fiolce. Ty, jako niewierna, nie widziałaś, ale czy choć masz świadomość, co pominęłaś?

– Szczerze? Nie. Ja miałam swoje własne spotkanie z absolutem. Poznałam osobiście Jeremy'ego Corbyna, który jest moim absolutnym politycznym idolem…

– A ja myślałam, że to ja jestem twoją polityczną idolką!

– Yyyyy… No, ty idolką, a Jeremy idolem.

– Widzisz, jak się feminatywy przydają!

– Prawda. Corbyn był na parlamentarnej konferencji związanej z Flotyllą Sumud i jest dokładnie tak czarujący, uroczy i bezpretensjonalny, jak wiedziałam, że będzie. Poza tym, że jest mądry, ideowy i odważny, ale to oczywiste i bez osobistego spotkania. W każdym razie konferencja była znakomita – piszę o niej w tym numerze – i jeszcze miałam czas na Brugię. A zaraz po powrocie z Brukseli poleciałam na weekend majowy do Londynu, już bez żadnej politycznej nadbudowy…

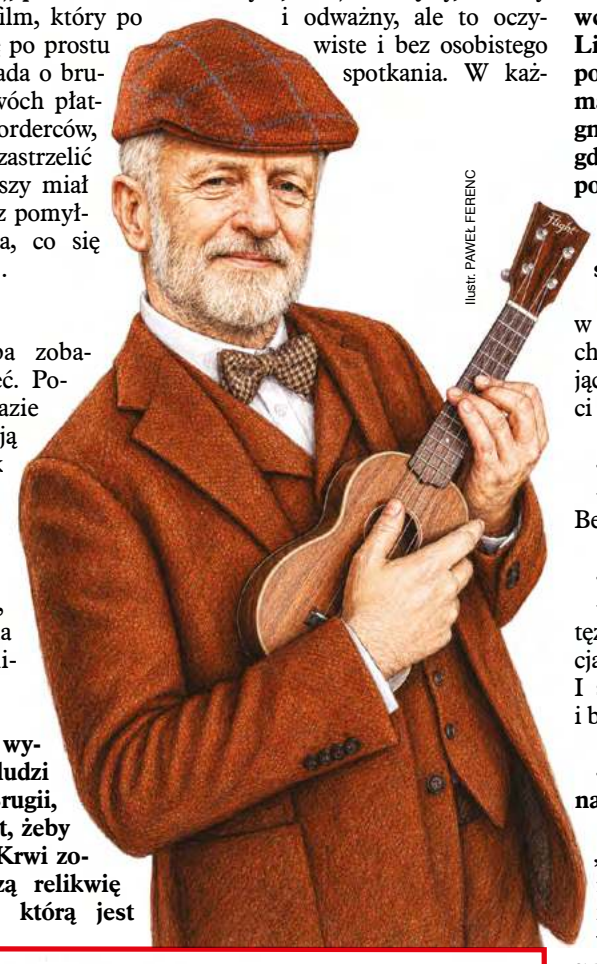

Ilustr. PAWEŁ FERENC

– Ty? Na pierwszego maja? Bez politycznej nadbudowy?

– Chciałam iść na jakiś pochód, ale żaden mi się nie trafił.

– Trzeba było zapytać Corbyna.

– A żebyś wiedziała, że zapytałam. I powiedział, że Your Party w tym roku nie robi pochodu, bo ma spotkania przed czwartkowymi wyborami lokalnymi. A że to ich pierwsze wybory, na nich się skupiają…

– Zawszeć to mądrzejszy pretekst, niż wymyślili czarzaści. Odwołując pierwszomajowe obchody wciskali kit, że po śmierci Łukasza Litewki: „nikt z nas nie będzie potrafił świętować". A może się martwią, kto za półtora roku wciągnie marszałka do sejmu? Przecież gdyby w 2023 r. Litewka nie dostał ponad 40 tys. głosów, startując z ostatniego miejsca, Czarzasty ze swoimi 22 tys. nie załapałby się na mandat.

– Za to teraz by wszedł, bo u nas w sejmie jak we francuskiej monarchii: *Le roi est mort, vive le roi!* Wracając wszakże do moich wojaży, muszę ci jeszcze coś opowiedzieć…

– Skoro musisz.

– Byłam na koncercie Thomasa Benjamina Wilda!

– No gratuluję. A kto to?

– Taki cudowny wielki facet ze potężną brodą i wiktoriańską elegancją, który gra na maleńkim ukulele. I śpiewa własne ballady. Genialne i bardzo polityczne.

– To jednak była jakaś polityczna nadbudowa.

– W sumie tak. Przykład: „Umieśćmy króla w miłym małym mieszkanku, kiedy obalimy monarchię. Możemy nawet darować mu pierwszy miesiąc czynszu". Albo: „Jeśli jesteś rasistą, mizoginem lub homofobem, to jesteś totalną cipą"… Po angielsku brzmi to o niebo lepiej, serdecznie polecam posłuchać. A potem poszłam na wymarzoną wycieczkę po Whitechapel śladami Kuby Rozpruwacza.

– Dziwne masz marzenia…

– Zawsze lubiłam się relaksować przy historiach o seryjnych mordercach. W każdym razie uroczy skądinąd przewodnik zapytał na wstępie, kto co wie o Kubie, więc ja się rzuciłam od razu, że ostatnio badanie DNA wykazało, że był to polski emigrant Aaron Koźmiński. A on mi na to, że niby tak, ale łańcuch dowodowy nie został zachowany i w ogóle nie wiadomo, czy ta chusta, na której wykryto DNA pasujące do potomków siostry Koźmińskiego, to ta sama, którą znaleziono przy zwłokach Catherine Eddowes, czyli czwartej kanonicznej ofiary Rozpruwacza…

– I to cię tak oburzyło?

– Oczywiście. Poczułam się dotknięta w moim patriotyzmie! Żeby nam odmawiać naszego Rozpruwacza?! Jaki inny Polak stał się ikoną popkultury?

– Jan Paweł II.

– Wolę Kubę Rozpruwacza.

senyszyn@wp.pl
wolklaniewska@wp.pl

DĄBROWSKI RYSUJE

Rys. RYSZARD DĄBROWSKI

eprasa.pl 1baae62809